24 Rok XVI (813)
CENA 1.50 ZŁ
17.6.73

Patrz str. 8

ODGŁOSY

TYGODNIK SPOŁECZNO • KULTURALNY

ŁÓDŹ 2000

Fot. J. Mendychowski

Patrz str. 3

ŁÓDZKA WIOSNA ARTYSTYCZNA 5

KONRAD FREJDLICH

FOLKLOR ROBOTNICZEJ ŁODZI

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

GOŚCIE Z PRAGI

Patrz str. 6

JERZY WILMAŃSKI

Jak fałszowano znaczki polskie

Prawdę mówiąc polskie znaczki fałszowano stosunkowo rzadko. Dość powiedzieć, że bodaj jedyna publikacja książkowa na ten temat liczy... 46 stron. Mam tu na myśli — oczywiście — pracę MACIEJA PERZYŃSKIEGO „FAŁSZERSTWA ZNACZKÓW POLSKICH" (Wyd. „Ruch", 1971).

Perzyński podaje, że w latach 1918—1939 sfałszowano na szkodę poczty... dziesięć znaczków obiegowych. Po drugiej wojnie światowej natomiast ukazało się zaledwie... jedno fałszerstwo i to chyba nie w celu zysku, bowiem znaczków tych puszczono w obieg bardzo mało i tylko w Rzeszowie oraz najbliższej okolicy.

To powojenne fałszerstwo dotyczyło znaczka z roku 1944 (tzw. wydanie „Goznaku"), przedstawiającego orła piastowskiego na czerwonym tle. Takich znaczków jest oczywiście sporo — w tym wypadku chodzi jednak o znaczek z nadrukiem „KRN".

Było to fałszerstwo na szkodę poczty. Rzecz prosta ciekawsze — i niestety — częstsze są fałszerstwa na szkodę kolekcjonerów. Tych jest znacznie więcej.

Byłoby oczywiście dziwne, gdyby nie próbowano fałszować pierwszego polskiego znaczka z roku 1860. Pierwsze — wg Perzyńskiego — takie fałszerstwo ukazało się w Paryżu w roku 1935. „Producent" nie znał prawdopodobnie... języka polskiego.

Ale tu trzeba słów parę o słynnym „Za łót kop. 10". Takie właśnie słowa widnieją na pierwszym polskim znaczku, który poza tym przedstawia carskiego orła i bogatą ornamentację. Słowa znaczą po prostu, że za 1 łut wagi listu opłata wynosiła 10 kopiejek. Jeśli list ważył np. 3 łuty, nalepiano na niego trzy znaczki.

W omawianych tu falsyfikatach w tych trzech słowach znajdują się... aż trzy błędy. W słowie „kop" litera „p" odwrócona jest do góry nogami, poza tym zamiast „łót" pisze „łot". Fałszerstw tych — bardzo jak widać prymitywnych — ujawniono zaledwie parę sztuk. Dla ciekawości dodajmy, że autentyczna „Polska 1" kosztuje dziś wg

Dalszy ciąg na str. 4

I TRIENNALE MALARSTWA I GRAFIKI 1973

BOGUSŁAW KUDELSKI — grafika

Ludowe Święto

W ubiegłą niedzielę odbywały się w całym kraju uroczyste obchody Święta Ludowego. Było to święto nie tylko rolników, pracowników przemysłu rolnego, pegeerowców i pracowniczych rzesz obsługujących rolnictwo — ale całego społeczeństwa. Cel — intensywny rozwój socjalistycznej ojczyzny — jest sprawą całego społeczeństwa, pracujących z miasta i wsi. Osiągnięcie tego celu gwarantuje m. in. coraz ściślejszy związek przemysłu i rolnictwa, robotniczo-chłopski sojusz. Taki też był główny akcent tegorocznych obchodów.

Centralne uroczystości obchodów Święta Ludowego odbyły się w Płocku. Wybór tego miejsca nie był przypadkowy. Ziemia płocka wyróżnia się wysokotowarową produkcją rolną, gospodarnością i pracowitością jej mieszkańców. Miasto Płock to wielka chemia, ale równocześnie ważny ośrodek produkcji maszyn i sprzętu rolniczego. W Płocku jak i w całym kraju obchody charakteryzowała atmosfera szczególnego optymizmu. Optymizmu w pełni uzasadnionego, gdyż nowa polityka rolna, realizowana zgodnie z Uchwałami VI Zjazdu PZPR, stworzyła warunki do dynamicznych przemian wsi polskiej, jakich obecnie jesteśmy świadkami.

Realizacja zadań wytyczonych przed rolnictwem przebiega pomyślnie. **Globalna produkcja rolnicza zwiększyła się w latach 71—72 o 12 proc., a towarowa o 9 proc.** Tak duża dynamika rozwojowa w produkcji zwierzęcej i roślinnej nie ma sobie równych w dziejach polskiego rolnictwa. Jest materialnym wyrazem aprobaty chłopów dla polityki rolnej partii. Fakt ten podkreśla równie dobitnie niespotykana w przeszłości aktywność wsi w podejmowaniu i realizowaniu czynów społecznych.

Ten trud rolników idzie w parze ze wzmożonym wysiłkiem klasy robotniczej, przemysłu pracującego pośrednio i bezpośrednio na potrzeby rolnictwa, zgodnie z zasadą, że gospodarka narodowa to układ naczyń połączonych. Jest to więc sprawa coraz większych dostaw maszyn i narzędzi, nawozów sztucznych, materiałów budowlanych, środków transportu i innych środków produkcji, które warunkują modernizację i rekonstrukcję polskiego rolnictwa.

Treści tegorocznego święta były ściśle związane z zadaniami stojącymi przed rolnictwem w bieżącym roku i latach następnych. Z zadań „na dzisiaj" to szybkie przeprowadzenie zbiorów siana (by uzyskać trzy pokosy w ciągu roku) oraz staranne przygotowanie do akcji żniwnej. Chodzi więc o szybkie powiększanie krajowych zasobów paszowych dla zapewnienia rosnącej produkcji zwierzęcej, jak też o przygotowania do zbiorów, które w br. zapowiadają się pomyślnie. Stałej troski samych rolników i ludzi odpowiedzialnych za rolnictwo wymaga niedostateczny jeszcze postęp w produkcji żywca wołowego i jednostkowej wydajności krów. Są to problemy szczególnie ważne, bo jest to droga do dalszego zwiększania dochodów wsi, a jednocześnie dalsza możliwość i potrzeba poprawy zaopatrzenia rynku.

Lepsze wykorzystanie nowoczesnych środków produkcji, tych, które już są w posiadaniu rolników i które sukcesywnie zwiększać będą bazę materialną rolnictwa — to sprawa ogromnej wagi. Wymagać to będzie nowych form gospodarowania, szerzej pojętej kooperacji między rolnikami i przedsiębiorstwami obsługującymi rolnictwo, a także specjalizacji gospodarstw w oparciu o długofalowe umowy z przemysłem rolno-spożywczym.

Motorem tych przemian winny być kółka rolnicze. Ta najbardziej masowa chłopska organizacja zdobyła sobie już od dawna prawa obywatelskie na wsi. Niemniej nadal w obliczu przyspieszenia rozwoju wsi musi doskonalić swą pracę i dążyć do zwiększenia swej roli w życiu społeczno-gospodarczym wsi. Przed kółkami rolniczymi stoją nadal zadania o wszechstronnym charakterze. Chodzi bowiem o stałe podnoszenie fachowej wiedzy rolników, jak i konkretną działalność organizatorską: wprowadzanie na wieś w każdej formie nowoczesności, postępu technicznego, zdobyczy nauki itp.

Zabierając głos na centralnych obchodach Święta Ludowego w Płocku, prezes NK ZSL St. Gucwa, zastanawiając się nad źródłem aktualnych sukcesów naszego rolnictwa, powiedział: **„Tym źródłem był i jest sojusz robotniczo-chłopski, w którym przodującą rolę odgrywa awangarda naszego narodu — klasa robotnicza i jej partia — PZPR. Sojusz ten rodził się we wspólnej walce robotników i chłopów z ustrojem burżuazyjno-obszarniczym, we wspólnym zmaganiu z hitlerowskim najeźdźcą o społeczne i narodowe wyzwolenie naszego kraju, w walce o jego nowe polityczne i społeczno-gospodarcze oblicze".**

Tak więc, jak nakazuje wieloletnia tradycja, dzień Święta Ludowego był nie tylko okazją do podsumowania bieżących osiągnięć i skierowania wzroku w przyszłość, ale i dniem hołdu dla tych, którzy poświęcili swe życie ludowej ojczyźnie, dla bohaterów wspólnych walk klasy robotniczej i chłopów o dzisiejszy, socjalistyczny kształt naszego państwa.

J. ŻAK

Nie ma bąbli na Piotrkowskiej

Światową sensacją stały się purpurowe bąble z Teksasu. W małej miejscowości Garland, oddalonej 110 km od słynnego skądinąd Dallas, na starym opuszczonym cmentarzu zaczęły wyrastać nagle ogromne purpurowe bąble. Takie bąble w okresie zbliżającej się kanikuły to nic dziwnego, ani nic nowego. Ale tym razem nie chodziło już o kaczkę dziennikarską, którą gazeta wypuściła dla ratowania nakładu w letnie dni, kiedy ludzie wolą opalać się nad wodą, niż czytać gazety.

Purpurowymi bąblami zainteresowali się naukowcy i w pierwszej chwili bezradnie rozłożyli ręce. Podejrzenie padło na bakterie, ale pech chciał — a prasa to przypomniała — że przed 76 laty, w 1897 roku na ów cmentarz spadł „niezidentyfikowany obiekt latający". Ludzie pamiętają tylko jedno, że był cały z metalu. Poszukano szczątków owego „niezidentyfikowanego obiektu latającego", znaleziono i dano uczonym do badania. A ci znów rozłożyli ręce. Takiego metalu nie znają i nie wiedzą skąd pochodzi. Zadano więc kolejne pytanie: jaki jest związek purpurowych bąbli z resztkami nieznanego metalu?

Po dalszych badaniach okazało się, że owe bąble to nic innego, jak tylko szczególny rodzaj... pleśni. Taką opinię wydali dwaj botanicy z uniwersytetu Baylor — dr Fannie Hurst i dr Jerry Flook. Ich zdaniem jest to pewna odmiana pleśni, która w określonej wysokiej temperaturze powietrza i przy określonym stopniu jego zawilgocenia — a takie warunki panowały akurat w Garland — szybko rozwija się. Jednakże pleśń z Garland stała się pożywką dla pewnego szczepu bakterii. Jaki to szczep? Uczeni jeszcze nie potrafią na to odpowiedzieć. Podobnie zresztą, jak do tej pory nie odpowiedzieli na pytania o pochodzeniu metalu na starym cmentarzu w Garland. Co będzie dalej? Zobaczymy.

Ale kiedy czytałem o purpurowych bąblach z Teksasu, bardzo zazdrościłem mieszkańcom Garland. Że też — myślałem sobie — wszystkie takie, co ciekawsze sensacje muszą zdarzać się innym, w innych krajach i na innych kontynentach. Jak już muszą wyrosnąć kolorowe bąble, to nie na ulicy Piotrkowskiej w Łodzi, a gdzieś tam w Ameryce. Jak spadnie raz na tysiąc lat ogromny meteor i ludzie nie wiedzą, jak to wytłumaczyć, bo nie pozostał po nim żaden ślad, poza wypaloną i powalaną tajgą, to musi się to stać np. nie na piaskach nad Wartą czy Pilicą, ale w dalekiej Tunguzji. Będziemy mieć niedługo własne morze i też przydałby się nam jakiś potwór lub wąż morski. Ale nic z tego.

Tak sobie myślałem. Zaraz jednak skarciłem siebie, bo cóż to, czy my nie mamy własnych sensacji, a nieraz na skalę światową. Ot, choćby ostatni mecz Polska — Anglia. Przez szereg ligowych niedziel nasi piłkarze grali fatalnie. Okazuje się, że to dla zmylenia przeciwnika. W Chorzowie zagrali znakomicie, niemal tak dobrze, jak na Olimpiadzie. Czy to nie sensacja?

Mamy też i małe sensacje — o charakterze lokalnym. Na przykład dość sprawnie postępujący remont ulicy Piotrkowskiej. Wprawdzie to nie to, co purpurowe bąble, ale kiedy kładzie się asfalt, ludzie przystają i przypatrują się pracy innych. Zawsze to przyjemnie popatrzeć, jak inni pracują a w dodatku ocenić z obywatelskiego punktu widzenia postęp robót. Inna rzecz, że z wymianą szyn na tejże ulicy Piotrkowskiej nie idzie już tak szybko, jakby tego można było oczekiwać, ale to inna sprawa.

Albo Festiwal Filmów Krótkometrażowych w Krakowie. Rozdzielono już nagrody. Grand Prix „Złotego Lajkonika" otrzymał Bohdan Kosiński z WFD za film „Budowałem miasto". „Srebrnymi Lajkonikami" podzielili się: Bohdan Dziworski z WFO za film „Krzyż i topór" oraz Józef Blachowicz i Krystian Przysiecki z TVP za film „Uroczysko". Wśród trzech najlepszych jest jeden z Łodzi, z Wytwórni Filmów Oświatowych. Cieszy to, a jednocześnie trochę martwi, bo w tym roku mało było łodzian wśród laureatów. Wprawdzie „Głos Robotniczy" wiadomość o nagrodach na FFK w Krakowie zatytułował: „Łódzkie sukcesy na festiwalu w Krakowie", ale to niczego nie zmienia.

Prześledziłem listę nagrodzonych i obliczyłem, że WFD wzięła w tym roku dwie nagrody (pierwszą i trzecią) oraz wyróżnienie specjalne, WFO — jedną nagrodę (drugą) i wyróżnienie, „Semafor" — jedną nagrodę (trzecią), „Czołówka" — dwa wyróżnienia, a natomiast TVP — trzy nagrody (jedną drugą i dwie trzecie) oraz dwa wyróżnienia, w tym „Głosu Robotniczego". Jeśli więc już o sukcesie ma być mowa, to był niewątpliwy sukces telewizji. I myślę, że fakt ten powinien zastanowić. Oto główny odbiorca filmów krótkiego metrażu — telewizja, która dziś produkuje sama dla siebie, ale która może i powinna korzystać z filmów powstających w innych wytwórniach.

Wiem, że wszystko są to małe i nieważne sensacje, albo może wcale nie sensacje i gdzie im porównywać się do purpurowych bąbli z Teksasu. Ale pleśni własnej też mamy sporo i byłoby dobrze ją wyplenić, szczególnie z umysłów różnych takich, co to udają, że myślą i tym udawaniem wiele szkody czynią społeczeństwu. A jednak któregoś dnia być może na polach PGR w Brusie wyląduje pojazd kosmiczny. Wtedy zakasujemy wszystkie kolorowe bąble całego świata. Poczekajmy tylko.

M. RODAK

Listy do Redakcji

„DNI KSIĄŻKI"

W numerze 130 „Dziennika Łódzkiego", z 2 czerwca br., ukazał się list Adama Nonasa, zatytułowany „Żakowskie igraszki". Ten frywolny tytuł nadano publikacji stanowiącej próbę polemiki z zamieszczonym na łamach „Odgłosów" artykułem J. Żaka, który poruszył sprawę lekceważącego stosunku łódzkiego „Domu Książki" do pisarzy biorących udział w majowym kiermaszu.

Pan Adam Nonas, udając zdziwienie i zażenowanie, kwestionuje już na samym wstępie nie tylko sens wystąpienia Żaka, ale nawet jego prawdomówność. „Jest to — stwierdza autor listu — na szczęście odosobniony w prasie łódzkiej przypadek, publikacji będącej zbiorem insynuacji, ogólników i sformułowań rozmijających się najczęściej z prawdą". Zdawać by się więc mogło, że tym razem otrzymamy nareszcie wypowiedź pozbawioną tych braków, które pan Nonas przypisuje artykułowi „Odgłosów", a więc wolną od insynuacji, ogólników i przeinaczeń.

Przeczytałem list czytelnika „Dziennika Łódzkiego" i poczułem się zakłopotany. Pan Nonas, co zresztą zostało starannie przemilczane, nie jest przecież tuzinkowym korespondentem gazety, jest odpowiedzialnym za kiermasz pracownikiem „Domu Książki". I kiedy pyta „na jakiej podstawie ocenia J. Żak kiermasz negatywnie", musi się spodziewać, że sam z kolei zostanie zapytany o przyczyny samozadowolenia „Domu Książki", dla którego, jak to niedwuznacznie wynika z listu, kiermasz miał „znakomitą atmosferę i doskonałą organizację".

Przyznam, że różnię się z panem Nonasem w ocenie atmosfery i organizacji kiermaszu. „Dom Książki" nie zatroszczył się nawet o informację w prasie na temat udziału pisarzy łódzkich w kiermaszu, co należało do elementarnych obowiązków organizacyjnych. „Dom Książki" w Warszawie, organizujący kiermasze, w porównaniu z łódzkimi — gigantyczne, potrafi przecież zawczasu postarać się o anonse prasowe i publiczność warszawska wie, jacy pisarze będą tam podpisywać swoje książki. Pisarzom łódzkim, którzy biorą udział w kiermaszu honorowo, należy się chyba tego rodzaju satysfakcja. Można by to uważać za przeoczenie, gdyby nie fakt, że sytuacja ta powtarza się od lat i stała się trwałą praktyką łódzkiego „Domu Książki". Nic też dziwnego, że wobec tego braku szacunku dla ludzi pióra, kiermasz utracił dla pisarzy swoją atrakcyjną siłę. Ale pan Nonas taktownie znajduje inną przyczynę ich absencji: „Natomiast J. Żak ani słowem nie wspomina o bardzo ważnej, by nie powiedzieć, zasadniczej przyczynie nieobecności większości pisarzy łódzkich na kiermaszu — brak ich pozycji na rynku księgarskim. Znaczna ilość książek została bowiem w ubiegłym roku wycofana na nagrody pocieszenia Wielkiej Loterii Samochodowej".

Abyśmy nie mieli wątpliwości, że chodzi tu o łódzkie buble, przedstawiciel księgarzy myśl swoją rozwija: „Doświadczenie uczy, że czytelnikom chodzi o spotkanie z autorem ciekawej i atrakcyjnej książki, co nie oznacza, że jej twórcą musi być znany pisarz. Może to być z równym powodzeniem właśnie aktor, lekarz czy inżynier, którzy zamiast nudnej powieści (podkreślenie moje — K. F.) napisał arcyinteresujące wspomnienia..."

Zaskoczył mnie nieco ten typ argumentacji u człowieka, który bądź co bądź reprezentuje przecież instytucję zajmującą się nie tylko sprzedażą, ale także popularyzacją książki. Zawsze pragnę widzieć w księgarzu raczej działacza kulturalnego niż sklepikarza chciwie rachującego zyski. Wypróbowanych przyjaciół literatury, naturalnych sojuszników pisarskiego trudu nie brak zresztą wśród łódzkich księgarzy i myślę, że pan Nonas raczej sobie niż im wystawia tutaj świadectwo. I chociaż tłumaczy on ograniczenie swego wystąpienia „brakiem miejsca", odnoszę wrażenie, że o inną ograniczoność tu chodzi.

Aby zaś rozwiać do końca złudzenia pana Nonasa stwierdzam, że przyczyną mojej nieobecności na kiermaszu nie był brak książek, spowodowany przekazaniem ich na nagrody pocieszenia Wielkiej Loterii Samochodowej. W ubiegłym roku opublikowałem w Wydawnictwie Łódzkim powieść pt. „Kres", zaś w spółdzielni wydawniczej „Czytelnik" tom wierszy „Dorzecze" i miałbym zapewne co podpisywać na kiermaszu. Powstrzymałem się od udziału w nim najzupełniej świadomie, aby zaprotestować przeciwko stosowanym od lat przez łódzki „Dom Książki" praktykom lekceważenia łódzkiego środowiska literackiego, czego wymownym przykładem jest także subtelna wypowiedź pana Nonasa, zamieszczona w „Dzienniku Łódzkim".

KONRAD FREJDLICH

członek Związku Literatów Polskich

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, CELINA PALUCH (redaktor techniczny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMANSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), MAREK WAWRZKIEWICZ.

Stale współpracują: KAROL BADZIAK, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMINSKI, EWA NURCZYŃSKA, JANUSZ SKOSZKIEWICZ, WITOLD SŁAWSKI.

KŁĘBEK ARCHITEKTURY

Z architektem JANEM MICHALEWICZEM o łódzkiej architekturze rozmawia **Antoni Szram**

— Istnieje pogląd, że dla zaspokojenia przewidzianego zapotrzebowania na nowe budowle, należy u nas wznieść w ciągu bieżącego dziesięciolecia przynajmniej drugie tyle budynków, ile powstało przez cały czas istnienia Łodzi przemysłowej. Toteż architekci i planiści mówią, nie bez słuszności, o wręcz zawrotnej konieczności zbudowania „drugiej Łodzi"... Tedy, patrząc np. na panoramiczne obrazy gładkich, wyniosłych, prostopadłościennych budowli — eksponowanych makiet w mini-galerii architektury „Głosu Robotniczego", słuchając bezustannego ryku buldożerów, szczęku kafarów, szumu mieszarek cementu — zestawiamy zwykłą, prozaiczną definicję nowej technologii budowlanej z „kłębkiem" przestarzałych gmachów i ruder, urągającym przepisom sanitarnym. Czy łódzki architekt podoła temu zapotrzebowaniu na domy mieszkalne, szkoły, szpitale, zakłady przemysłowe, miejsca rozrywkowe, przybytki kultu i boiska sportowe? — pytam JANA MICHALEWICZA, prezesa Oddziału Łódzkiego SARP.

— Praca archeologa, inspektora czy archiwisty polega na zmierzaniu śladem dokumentów. To tak, jakby iść po nitce do kłębka. My musimy postępować odwrotnie, rozwijamy kłębek. Można sobie wyobrazić, jak trudno rozwijać kłębek, który jest w dodatku splątany.

— No, a jak nitki w kłębku są pocięte? Trzeba przecież pamiętać, że istnieje mnóstwo „nitek" myślenia urbanistycznego, np. wzniesiono wiele wolno stojących drapaczy chmur, które jeszcze nie znamionują nowoczesnej architektury. Tak, jak „klamka" nie określa komfortu wnętrza domu...

— Bywa, że w sprawach architektury rozpoczyna się rozmowę od przysłowiowej klamki, od detalu: detalem w skali miasta może być budynek, nawet osiedle. Jest bardzo niedobrze, jeżeli konkretne działanie polega również na podejmowaniu niezliczonej mnogości cząstkowych decyzji z absolutnym przeświadczeniem, że w ten jedyny sposób skomponuje się symfonię form. No, niestety, zamiast efektu doskonałego utworu należy raczej w takim przypadku oczekiwać kociokwiku, oczywiście używam przejaskrawień.

— Jaki projekt reformy Pan proponuje?

— Postępowanie od ogółu do szczegółu, od kłębka do koniuszka nitki. Można mieć istotne obawy, co do decyzji, które zostały podjęte w stosunku do określonego zagadnienia bez powiązania z szeregiem innych okoliczności.

— Zdolności adaptacyjne łódzkiego architekta — moim zdaniem — są jedną z jego najwspanialszych cech...

— Cecha, którą niektórzy opacznie kwalifikują do negatywnych. Nieustanne wahania, wątpliwości w stosunku do wyników własnego wysiłku. Niepokój, potrzeba ciągłego udoskonalania. Bywa tak, że w toku budowy autor projektu, używając różnych środków, wprowadza kolejne zmiany. Tej cechy nie należy plątać z brakiem umiejętności w podejmowaniu decyzji. Można by tak ogólnie powiedzieć, że zły architekt od razu wszystko wie. Bierze możliwie twardy ołówek, żeby się kalka nie pobrudziła i zaczyna kreślić na czysto, bo on nie ma żadnych wątpliwości. Projekt wymaga przemyślenia i czasu, biorąc nawet optymalne warunki, to występuje prosta zależność między ilością czasu a dobrym projektem.

— Oczywiście, ten „szczególny projekt" i interesujący tok pracy tłumaczy się wyjątkowymi potrzebami i wymaganiami nowoczesnej architektury, choćby Śródmiejska Dzielnica Mieszkaniowa.

— Bywa, że rezultat pracy architekta zostaje sformułowany na kawałku papieru o niedużych rozmiarach. Rezultat ten, bywa, musiał być poprzedzony paroma koszami szkiców. Nie wszyscy to zauważają, przykro, że tym brakiem obserwacji są dotknięci nieraz koledzy, reprezentujący branże koordynowane w ramach kompleksowego opracowania projektu. Mam nadzieję, że koledzy z wymienionych branż wybaczą mi tę drobną szarżę.

— Plan generalny Łodzi — ogólny plan zagospodarowania przestrzennego miasta, został wreszcie zatwierdzony. Wydaje się, że jeżeli padły różnego rodzaju nie przemyślane projekty rozbudowy aglomeracji podmiejskiej, to chyba dlatego, że wokół tych spraw zbyt wiele nagromadziło się emocji, a za mało trzeźwej oceny i szerszego spojrzenia z punktu widzenia interesów architektury. Jaka byłaby dla SARP-u rola w dalszym postępowaniu?

— To prawda, że nasz krajobraz w strefie aglomeracji podmiejskiej jest zaśmiecony brzydką architekturą. Ostatecznie można by tłumaczyć to zjawisko również wewnętrznymi potrzebami i ogólnym poziomem bezpośredniego „konsumenta" tych tworów, inwestora — użytkownika. Potrafi on często z dobrego projektu, wyzwalając w sobie improwizację, zaspokoić swoje estetyczne potrzeby, wprowadzając daleko idące zmiany. Zjawisko to jest nagminne. Pół biedy, gdyby schodkowy gzyms na trempelku był prywatną sprawą jego twórcy, stanowił świadectwo wysiłku i poziomu potrzeb estetycznych danego inwestora. Sprawa ta ma znacznie szerszy aspekt i z powodzeniem może być przedmiotem dociekań architektów naszego Stowarzyszenia jak i socjologów.

— Wydaje się więc, że prowadzona pod auspicjami SAPR praca nad programem modernizacji Łodzi (konkursy) i stworzeniu dla niego warunków, pozwoli na działanie długofalowe, które będzie szansą dla naszych architektów, szansą dla korzystnego rozwoju nowych osiedli mieszkaniowych.

— Nasz kierunek działania na tych obszarach to dążenie do operowania zespołami budynków z elementów prefabrykowanych, realizowanych przez wyspecjalizowane przedsiębiorstwa, dysponujące doświadczeniem i odpowiednim sprzętem, takie działanie winno gwarantować szybkość, niski koszt oraz ład przestrzenny.

— Czy plan generalny Łodzi, przygotowany z wielkim nakładem pracy, nie jest planem nierealnym? Zatwierdzony, a więc obowiązujący, może stać się hamulcem w trakcie nanoszenia poprawek, w warunkach ograniczających — brak architektów! — progiem, którego nie będzie można przekroczyć?

Mamy kłopoty kadrowe, a w ogóle to mało jest architektów w skali krajowej — a szczególnie mało jest w Łodzi. W stosunku do takich krajów, jak Rumunia, Bułgaria, Francja jest nas 3—5 razy mniej. Ten niedostatek kadr jest uzupełniany, zgodnie z zasadą — natura nie lubi próżni. Na nasze konto pracują rzesze osób takich, jak technicy budowlani, inżynierowie lądowcy, plastycy, posiadający odpowiednie uprawnienia do działania w sferze architektury. Natomiast krytyka społeczna jest skierowana wyłącznie pod adresem architektów.

— Rozumiem, że należy podjąć odpowiednie kroki w celu utworzenia Wydziału Architektury przy Politechnice Łódzkiej, a obecnie?

— Łódź ma swój plan generalny, określający podstawowe kierunki rozwoju przestrzennego miasta. Ustalenia tego planu dały podstawę do podjęcia dalszych kroków. W pracowniach projektowych trwają prace nad planami szczegółowymi Śródmieścia — ośrodka centralnego oraz dwóch ośrodków ponaddzielnicowych, do których należą rejony Bałuckiego Rynku i Placu Niepodległości. O wynikach tych prac informujemy społeczeństwo m. in. za pośrednictwem „Mini-galerii SARP i Głosu Robotniczego".

— Wiemy, że zostały podjęte decyzje w sprawie reorganizacji służb planowania przestrzennego, jaki, Pana zdaniem, powinien być modelowy układ?

— Rozumiem to tak, winna nastąpić integracja planowania przestrzennego i projektowania z podejmowaniem decyzji w jednym organie. To znaczy koncentracja w jednych rękach środków rzutujących na przygotowanie decyzji oraz środków niezbędnych do prowadzenia nadzoru nad realizacją tych decyzji. Wówczas będzie można mówić o kompleksowym przygotowaniu procesu inwestycyjnego w oparciu o społeczno-gospodarcze plany.

— Co SARP sądzi o budownictwie uprzemysłowionym?

— Występuje przeciwko monotechnologii w budownictwie jak również przeciwko przypadkowym mieszaniom różnych technologii na jednym osiedlu — narażając się w ten sposób przedsiębiorstwom wykonawczym.

— Jak ten problem rozwiązać?

— Działamy na rzecz t.zw. typizacji otwartej, która polega na opracowaniu systemu elementów prefabrykowanych, z których można składać dowolne kompozycje, uzyskując w ostatecznym rezultacie bogactwo form.

— Dobrze więc, że przystąpiono do zwolnienia hamulców, że m. in. zajęto się także możliwościami pracy naszych plastyków na rzecz architektury miasta. Powołanie urzędu naczelnego plastyka Łodzi — na skalę większą aniżeli dotychczas. Jakie czekają go obowiązki i czy SARP nawiązał współpracę z ZPAP, przecież to są pokrewne zawody?

— Mamy już zarysowany program współdziałania, współpracy z ZPAP. Rzecz w tym, a osobiście odnoszę takie wrażenie, że u plastyków pokutują jakieś dziwne pojęcia w rodzaju upiększania, dekorowania architektury, poprzez dorabianie t.zw. wystroju. My, w naszym zawodzie, tępimy tego rodzaju tendencje, wychodząc z założenia, że architektura to nie choinka świąteczna. Sądzę, że mimo to współpraca będzie się rozwijała pomyślnie.

— W dotychczasowym planowaniu przestrzennym Łodzi w ogóle do zabytków architektury XIX wieku przywiązuje się małą wagę — czy nie jest to krótkowzroczność, uproszczone, ułatwione projektowanie komunikacji „jak wzrok sięga daleko", a przecież główna batalia o przyszłość Łodzi, to również stawka na turystykę, spojrzenie z fabrycznego komina na przeszłość proletariackiego, czerwonego miasta...

— Nie spotkałem się w naszym środowisku z brakiem zrozumienia w stosunku do reliktów naszej przeszłości.

— Dość długo poszukujemy jakości współczesnej urbanistyki Łodzi; CENTRUM, SDM, „ZDROWIE", PLAC WOLNOŚCI, PLAC NIEPODLEGŁOŚCI, BAŁUTY, ULICA PIOTRKOWSKA... itd. Trzeba podkreślić, że w programie rozwoju miasta, w równym stopniu obok koncepcji urbanistycznej musi znaleźć się nieszablonowa propozycja systemu organizacyjnego — od projektu do jego realizacji — bowiem dotychczas wartościowe rozmiary naszych sukcesów były w tej dziedzinie niewielkie, dlaczego?

— Trudno mi dać prawidłową ocenę naszego wysiłku. Znacznie lepiej robią to ludzie, którzy widzieli nasze miasto wiele lat temu, a dzisiaj, powodowani turystyczną ciekawością, przyjeżdżają do Łodzi zobaczyć, co się dzieje, co się zmieniło... Obserwując ich reakcję, odnoszę wrażenie, że nasz wspólny wysiłek w sprawie budowy nowoczesnego miasta, nie poszedł na marne. Powiadają, brak jest jeszcze mocnego uderzenia w samym sercu miasta. Wiemy, nastąpi to w najbliższych latach. Realizacja Śródmieścia wraz z dwoma ośrodkami ponaddzielnicowymi da miastu to, na co przede wszystkim oczekują z niecierpliwością mieszkańcy Łodzi.

Rozmawiał:
ANTONI SZRAM

KONKURS NA OPISANIE OSIEDLA
(II NAGRODA)

Na Kasowej

Mikroosiedle, w którym mieszkam, jest jeszcze „małoletnie" — dwunastolatek. Po przedwojennym osiedlu spółdzielczym „Lokatora" na ulicy Lokatorskiej, jest to druga z najstarszych enklaw spółdzielczości mieszkaniowej w dzielnicy Łódź-Górna. Sama nazwa osiedla trochę dziwna: „KASOWA", pochodzi od nazwy ulicy, przy której powstał pierwszy blok. Całe osiedle, to pięć domów czteropiętrowych Łódzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej. Wtłoczono je w kwadrat ulic: Rzgowskiej, Łukasińskiego, Kasowej i Leczniczej. Wyspa wśród starej zabudowy, powstała w miejscu rachitycznych drewniaków o bujnej przeszłości.

Nie ma już restauracji z ogródkiem na Rzgowskiej, gdzie tańczono na „bretlach", nie ma handlu win i wódek z wyszynkiem na rogu Leczniczej, dawniej Zimną zwanej, znikł z powierzchni domek drewniany — wielka bimbrownia i melina pijacka. Ale jest jeszcze niesympatyczna knajpa na rogu Rzgowskiej i Łukasińskiego — „Rzgowską" zwana, podtrzymująca część tradycji swoich poprzedniczek. W tej chwili tam koncentrują się spotkania „towarzyskie" tych, co po kilku głębszych „w Polskę idą" rozrabiać. Są naszym postrachem, szczególnie lokatorów z bloku na Łukasińskiego. Pisząc — postrachem — trochę przesadzam, gdyż to, co jest w tej chwili, jest w małym stopniu porównywalne z okresem przedwojennym. Nie ma już braci Wyborów z ulicy Tuszyńskiej, nie ma siłaczy: Skonecznego i Kierlucha z Wójtowskiej. Nie ma karczmy „Czerwonka" przy Czerwonym Rynku, gdzie krew lała się strumieniami. Coś jednak z tej niechlubnej przeszłości pozostało.

Pozostał jeszcze Czerwony Rynek ze swoim pchlim targiem w soboty. Ale już niedługo i ta ostatnia ostoja cwaniactwa ulegnie zagładzie. W miejsce targowiska powstaną piękne pawilony handlowe i usługowe, powstanie nowe osiedle: **„Czerwony Rynek".**

Mimo to, że zmienia się radykalnie okoliczna zabudowa „Kasowej", mieszkańcy starych, dotkniętych miażdżycą domów, patrzą z zazdrością na nowe bloki i na ich mieszkańców. I nieraz wbrew logice, statystyce i faktom uważają, że w nowych blokach nie mieszkają robotnicy. A kto, u licha tam mieszka?

Osiedlowy „przekładaniec" składa się z różnych grup społecznych. Obok lekarza, dziennikarza i inżyniera, robotnika z dziada pradziada, mieszka robotnik który trafił do miasta wprost z oddalonych wsi. W tym konglomeracie nietrudno o konflikty. Ci ze wsi przynoszą z sobą jakiś nowy powiew, ale stają się źródłem częstych nieporozumień, po które nie trzeba się wybierać do Nowej Huty. Nie każda z tych rodzin, wprowadzając się do nowego osiedla, wiedziała, jakie jest główne przeznaczenie łazienki. Rodzą się konflikty, bo część rodziców nie bardzo wie, dlaczego na przykład solidnie utrzymany zieleniec pomiędzy blokami nie może być miejscem zabaw dla ukochanych dzieci, czemu odpadki i śmieci trzeba wyrzucać do żelaznych kubłów, a nie, zwyczajnie, jak to było przed laty, pod okno sąsiada, lub z balkonu na balkon.

Wiele z tych rodzin przyniosło do miasta nawyk bylejakości, nieposzanowania dobra społecznego. Zakorzeniony od wielu lat, od wielu pokoleń kult własności jest chyba główną przyczyną tego tumiwisizmu. Zasiedziałość oznaczała stałe sąsiedztwo, to warzyszące wielu generacjom. Tam, to znaczy na wsi, stosunki z obcymi w znaczeniu: nie z krewnymi — przesiąkły powietrzem życia rodzinnego. Nie z wyboru, ale za sprawą losu, sąsiedztwo było jakby przedłużeniem archaicznego domu z całym jego konserwatywnym, emocjonalnym charakterem. Zgodni sąsiedzi żyli jak jedna rodzina.

Święto czy rozrywka miały też coś z charakteru poszerzonej imprezy rodzinnej.

Dalszy ciąg na str. 4

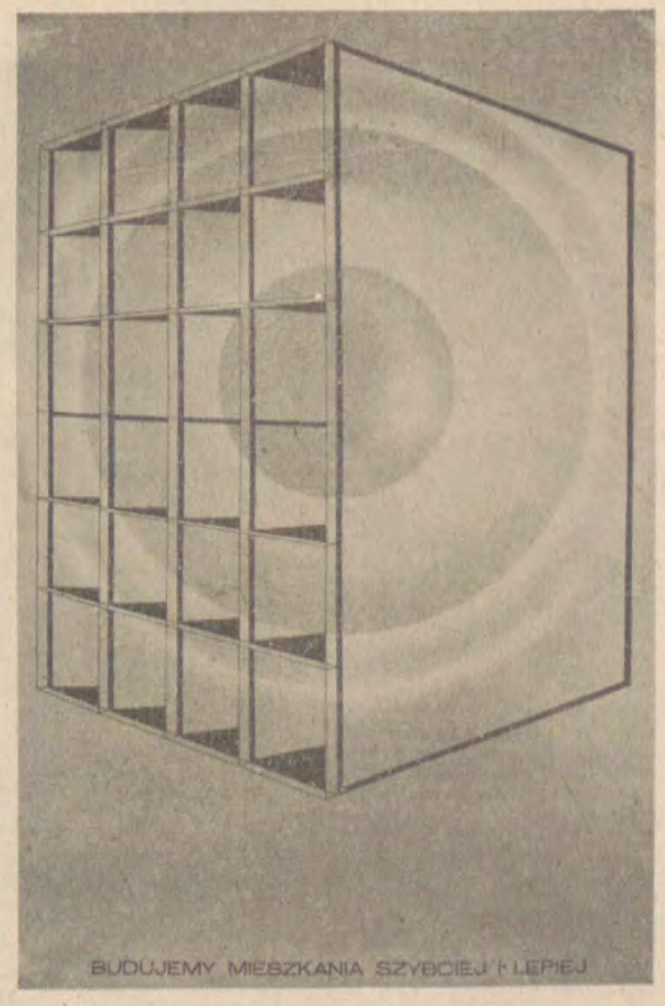

ANDRZEJ KABAŁA

Listy do Redakcji

MUZYKA

W letnie niedziele odbywają się w warszawskim Parku Łazienkowskim koncerty chopinowskie na otwartym powietrzu. Cieszą się one ogromną popularnością, przychodzą na nie miłośnicy muzyki Chopina, stali bywalcy sal koncertowych. Ale nie tylko. Koncertów słuchają często ludzie przypadkowo trafiający do parku. I muzyka ta trafia do wielu z nich, niektórych nawet trwale zaraża bakcylem melomańskim. Imprezy te dawno już sprawdziły się w Warszawie i mają ustaloną markę. Zastanawiam się, czy tej pożytecznej inicjatywy nie dałoby się przenieść na grunt łódzki. Mamy muszle w parkach (np. w Parku im. Poniatowskiego czy na Julianowie), mamy dobrych wykonawców (nie musi być od razu Harasiewicz czy Czerny-Stefańska), mamy wreszcie sporo wyrobionej publiczności. Fortepian też chyba się znajdzie. Kto ma zająć się organizacją? — może Towarzystwo Przyjaciół Łodzi, może inna organizacja społeczna. Ja sam chętnie pomógłbym, w miarę swych możliwości, np. przy transporcie instrumentu.

Nie chcę występować w niczyim imieniu, ale mam nadzieję, że propozycję moją poprą liczni w naszym mieście miłośnicy muzyki i że nie jest ona niemożliwa do zrealizowania.

MAREK CYBART
(Łódź)

Dalszy ciąg ze str. 1

cen państwowych do 24 tys. zł, a niezą̨bkowana jest właściwie bez ceny.

Potem w latach pierwszej niepodległości było — jak wspomniano — nieco fałszerstw na szkodę poczty, trochę więcej na szkodę zbieraczy. Ba, zdarzały się nawet falsyfikaty tzw. wydania krakowskiego z roku 1919, które zaopatrzone były w fałszywe... stempelki gwarancyjne znanych ekspertów. Wspomniane wydanie krakowskie doczekało się zresztą około... 40 różnych fałszerstw wykonanych różną techniką i w różnych krajach. Niektóre autentyczne znaczki tego wydania osiągają dziś cenę 50 tys. zł.

Fałszerze

Z fałszerstwami łączy się pośrednio tzw. sprawa „marginesów TABROMIK" z lat dwudziestych. Piszą na ten temat **Janina Wierzbowska i Andrzej Piwowarczyk** w uroczej książce **„Jarmark znaczków polskich"**. Chodziło tu o znaczki lotnicze — w ogóle pierwsze polskie znaczki lotnicze — a więc dla fałszerzy obiekt szczególnie ciekawy.

Dwa pierwsze polskie znaczki lotnicze miały charakter półoficjalny. Narodziły się one przy okazji pierwszych Targów Poznańskich z końcem maja roku 1921. Wtedy to przedsiębiorstwo „Aero-Targ" zorganizowało eksperymentalną linię lotniczą Poznań — Warszawa — Poznań. „Aero-Targ" zawarł umowę z pocztą, iż będzie zabierał do swoich samolotów listy, które zostaną zaopatrzone w znaczki wydania specjalnego. Sporządzono więc na zamówienie przedsiębiorstwa takie wydanie specjalne. Pierwszy znaczek za 25 marek przedstawiał postać mającą symbolizować Ikara, ze skrzydłami i trzymającego kulę ziemską pod pachą, w pozie stojącej, na tle panoramy Poznania, drugi — za 100 marek — przedstawiał samolot w locie nad krajobrazem, przy czym z ogona samolotu wysypywały się listy. Seria została wykonana techniką litograficzną. Zasadnicze kontury rysunku były czarne. Tło w pierwszym wypadku pomarańczowe, w drugim — niebieskie.

Każdy egzemplarz otrzymywał przy tym dodatkowy margines, przeważnie oddzielony perforacją, z literami „T.A.B.R.O.M.I.K."... Chodziło o rozreklamowanie fabryki likierów, której właścicielem był TAdeusz BROnisław MIKołajczyk. Otóż sam wynalazek tego rodzaju reklamy, stanowiący pod każdym względem nowość, komu jak komu, ale zbieraczom wyszedł na dobre Okazał się w latach późniejszych bardzo przydatny. Fałszerstwa różni dziś bowiem od oryginałów m. in. to, że nie posiadają w ogóle marginesu z reklamą. Eksperci otrzymujący te znaczki do sprawdzenia na widok marginesów mówią przeważnie: „nie widziałem fałszywego Tabromiku, który by miał przyczepioną reklamę"... Reguła ta nie została jeszcze podważona. Widocznie fałszerzom nie zależało na reklamowaniu firmy T. B. Mikołajczyka.

Zdarzały się także w Polsce tzw. wydania fantazyjne, a więc znaczki czy całe serie, których poczta polska nigdy nie wydała, a „zastąpili" ją w tym filatelistyczni macherzy. Znany jest więc znaczek z głową kobiety we frygijskiej czapce, który pojawił się bezpośrednio po pierwszej wojnie.

Podobnie zdarzyło się i po drugiej wojnie światowej. Otóż w latach 1945—1946 wydrukowano prywatnie we Włoszech serię pięciu znaczków, przedstawiających port gdański. Proszę zwrócić uwagę, jaka przemyślność cechowała fałszerzy — druga wojna zaczęła się właściwie od Gdańska, po wojnie miasto to wróciło do Polski, a zatem Polska powinna wydać takie znaczki.

Na marginesie dodajmy, że Polska wydała w roku 1945 trzyznaczkową serię z widokami Gdańska — nawet obiekty na nich przedstawione (żuraw, Ratusz) są te same, co na włoskich falsyfikatach.

Jeśli już mówimy o wydaniach fantazyjnych, to warto opowiedzieć szerzej nieznaną historię sfałszowanego znaczka, przedstawiającego „Bitwę pod Grunwaldem" Matejki. Oczywiście znaczek taki ukazał się rzeczywiście, ale w wiele lat po pierwszej próbie wprowadzenia do obiegu tego tematu.

Oto w Krakowskiej ASP zdawał egzaminy dyplomowe, młody, szalenie uzdolniony grafik. Jako pracę dyplomową wykonał staloryt znaczka — właśnie ową „Bitwę pod Grunwaldem". Praca wykonana była w skali 1:1 i właściwie niczym nie różniła się od normalnego znaczka, tyle, że u dołu, zamiast literek PWPW (Państwowa Wytwórnia Papierów Wartościowych) widniał napis: „praca dyplomowa ASP".

Znaczek oceniano wysoko, na co zresztą zasługiwał, bo był wyjątkowo piękny. Kto wie — może to właśnie podsunęło grawerowi myśl... usunięcia napisu „praca dyplomowa", odbicie większej ilości egzemplarzy i rozprowadzenie falsyfikatu wśród zbieraczy. Aferę wykryto stosunkowo szybko — nie zaszkodziło to jednak młodemu artyście, bowiem... otrzymał oficjalne już zamówienia od Ministerstwa Poczt. Przez wiele lat projektował znaczki, które są do dziś ozdobą polskiej filatelistyki. Dość powiedzieć, że projektował m. in. piękną serię wydania lotniczego z 1954 roku i w tym samym roku był współtwórcą pięknej serii 10-lecia PRL. Skończył jednak niechlubnie — po jakimś czasie „wybrał wolność". Można dziś spotkać jego nazwisko na znaczkach — pięknych jak zawsze — pewnego północnego kraju.

Natomiast wiele wrzawy i zdumienia wywołała po wojnie afera fałszerska, znana pod nazwą „Biały dyliżans". Afera zakończyła się gromkim śmiechem. Przedstawmy ją, odwołując się raz jeszcze do „Jarmarku znaczków polskich".

Z okazji 400-lecia Poczty Polskiej wydano w 1958 roku jeden z najefektowniejszych polskich znaczków. Był to „Dyliżans" wg obrazu Apoloniusza Kędzierskiego — znaczek o nominale 2,50 zł na jasno kremowym tle.

Niezależnie od tego ten sam znaczek ukazał się później w formie bloku, na... jedwabiu milanowskim, w cenie 50 zł. Ilekroć w jakimś kraju odbywa się wystawa, tym bardziej wystawa związana z ważną dla wszystkich zbieraczy rocznicą — pisze o niej prasa filatelistyczna na całym świecie. Anonsuje się oczywiście nowe, pamiątkowe znaczki. Tym razem prócz zasadniczego znaczka, na kremowym tle, jakaś prywatna amerykańska firma filatelistyczna w Stanach Zjednoczonych zaanonsowała znaczek bez tła.

Komisja Naukowo-Badawcza przy Zarządzie Głównym Związku Filatelistów w Warszawie znalazła się w kłopocie. Czyżby chodziło o jakąś wyjątkową rzadkość, o której my sami nie mamy pojęcia?

W ogromnej powodzi znaczków, wydawanych przez wszystkie państwa w wielkich nakładach, zaawansowani filateliści polują na to, co jest naprawdę rzadkie, a więc cenne, co przekracza wartość normalnej, urzędowej edycji.

Zdarza się, iż w pośpiechu i przy braku kontroli, nawet najbardziej skrupulatnie pracujące drukarnie państwowe wypuszczają różne znaczki z odwróconymi środkami, wtedy gdy są drukowane w dwu lub więcej kolorach, znaczki z horrendalnymi błędami, kompromitującymi pocztę, wycofane szybko z obiegu itp.

Powstało więc podejrzenie, że chodzi o półfabrykat z naszej drukarni państwowej. Po prostu ktoś tam zapomniał wydrukować pod „Dyliżansem" kremowe tło, a ktoś inny, rzecz jasna prywatnie, powstałą przypadkowo rzadkość „wyeksportował". Tego rodzaju egzemplarze oferowano w New Yorku po 5 dolarów za sztukę. Rysunek zgadzał się. Nie było mowy o falsyfikacie. Cała tajemnica wyszła na jaw, dopiero kiedy jednemu z warszawskich zbieraczy zaplamił się posiadany przez niego — arkusik ośmiu sztuk „Dyliżansu". Zbieracz ów nabył w mydlarni butelkę płynu „tri", w cenie 3 złote, i wywabiając z normalnego „Dyliżansu" plamę — wywabił niechcący tło. Według cen amerykańskich zarobił... 40 dolarów. (8 znaczków arkusika po 5 dol. każdy).

Powtarza się tutaj stara historia: cudze chwalicie, swego nie znacie... Oczywiście co obce — jest „lepsze, wartościowsze, rzadsze". Pomysłowy oszust postarał się więc naprzód rozreklamować „rzadkość" w Stanach Zjednoczonych, licząc, że z tamtejszych czasopism filatelistycznych wiadomość dotrze do nas — i tym bardziej nasi zbieracze się na to rzucą. Nie omylił się w swoich rachubach... Zanim zorientowano się jak „Biały Dyliżans" powstał — naiwni — oczywiście prywatnie bo nie w sklepach państwowych — płacili po 200 zł za sztukę, wobec 2,50 zł nominału.

Podobnie wyglądała w roku 1954 sprawa z bloczkiem poczty lotniczej, wydanym z okazji III Kongresu Polskiego Związku Filatelistów w Warszawie. Ukazał się on zasadniczo w barwie zielonej, ale uczestnicy Kongresu otrzymali również odbitki w barwie niebieskiej. Nie są one znaczkami, a tylko upominkiem od Ministra Poczt i Telegrafu. Nie były bowiem dopuszczone do obiegu. Nakład niebieskiej upominkowej edycji wynosił 5000 bloczków. Rzecz jasna, że dla wszystkich zbieraczy nie mogło wystarczyć...

Tymczasem zaczęto nadsyłać nam tę rzadkość za bezcen z... Nowego Jorku.

Po nitce do kłębka Milicja Obywatelska odkryła, że chodzi tu o mistrzowskie fałszerstwo. Gdyby nie jedna mała kreseczka rysunku, widoczna dopiero przy wielokrotnym powiększeniu drugich pięciu tysięcy, tych poza „oficjalnym" nakładem, pozostałoby nie wyjaśnione. Ktoś sobie „po prostu wydrukował dodatkowy nakład", wchodząc w kolizję z polskim kodeksem karnym i usiłował w ten sposób nabić kabzę.

HENRYK PŁÓCIENNIK — grafika

W nast. numerze Opowieści eksperta

JERZY WILMAŃSKI

Na Kasowej

Dalszy ciąg ze str. 3

Dom, kościół, remiza strażacka, czy t.zw. klubokawiarnia „Ruchu" gromadziły tych ludzi według jakiegoś kalendarza, który wyznaczał odpoczynek lub obrzęd familijny. Był to oczywiście kalendarz niedziel, a także weselisk, chrzcin i pogrzebów, dalej świąt tradycyjnych o religijnym charakterze. Były to święta całych rodzin.

Urbanizacja odmieniła dawną „sąsiedzką" kulturę współmieszkania w skali większości narodu, obejmując również swoim wpływem samą wieś. W miastach nowa zabudowa, jeśli nie dominuje ilościowo, jak w Warszawie, czy Wrocławiu, stanowi model, orientuje plany nowo powstających rodzin, określa wzory kształtującej się kultury. Socjalistyczna urbanizacja zniosła degradację dzielnic robotniczych, dzielnic jednoizbowych kamienic. Tak zwany standard wykończeniowy i wyposażeniowy poszczególnych „bloków" niewiele różni się między sobą. W ubiegłym roku dały się zaobserwować w budownictwie pewne korzystne zmiany w kierunku powiększonego metrażu, czy lepszego rozkładu mieszkań. Mimo tych zmian, mieszkanie dyrektora czy byłego robotnika rolnego może się różnić głównie umeblowaniem lub dobrami zakupionymi w „Eldomie" itp., ale niczym więcej. A jak wygląda wzór najpowszechniejszy, do którego trzeba się dostosować?

„Mój blok" nie należy do gigantów. Trzydziestu lokatorów, wszystkie mieszkania po dwa pokoje z kuchnią. Mimo to, że nie jest duży, nie znamy się wszyscy. Najwięcej wiadomo o najbliższych sąsiadach z tej samej klatki schodowej.

O pozostałych sąsiadach wiem bardzo mało. A tych jeszcze dalej zamieszkałych w naszym bloku znam już tylko jako przechodniów. Między czworobokiem bloków jest dziedziniec, gdzie głównie latem siadują babcie starym zwyczajem i niezbyt starannie ubrane niektóre panie domu. Dzieci — rzecz oczywista — nie siadują, tylko biegają do zmroku i krzyczą, i to koncertowo. Do szczególnie ulubionych zajęć dzieci należy jeszcze bieganie po trawnikach, na co, oczywiście, plotkujące babcie absolutnie nie zwracają uwagi. Starszym paniom naraża się tylko od czasu do czasu gospodarz domu, dawniej dozorcą zwany. W późniejszych godzinach wieczornych spotyka się samotnych ludzi z psami. Bez względu na pogodę, pełni poświęcenia, wyprowadzają swoich pupilków na wieczorne siusiu.

Niektórzy lokatorzy uprawiają w wytrwałym mozole jakieś tam „koniki". Najczęściej są to zajęcia ściśle domowe. Często pukają jak dzięcioł do późnych godzin wieczornych. Gołębi nikt nie hoduje, bo nie ma gdzie. Parapety obsiadują tylko sympatyczne gołębie dzikie. Natomiast, być może ktoś trudni się radioamatorstwem, ktoś inny studiuje encyklopedie, aby wziąć udział w teleturnieju. Wszyscy zresztą najwięcej czasu spędzają przed swoimi domowymi ekranami. Mówi o tym dudniący głos fonii telewizyjnej, rozchodzący się w klatce schodowej. Większa część naszych interesów życiowych pozostaje względem siebie w izolacji. Prawdę powiedziawszy, to właściwie wszystkie.

Oczywiście obchodzi nas wspólnie sprawne funkcjonowanie domu i jego urządzeń. Życiowa konieczność umożliwia rozwój jakiejś współpracy, współżycia które nie ograniczają się już do spotkań na schodach. Powstają osiedlowe samorządy. Są to małe lokatorskie sejmiki, na forum których można debatować o cieknącym dachu, parkingach na samochody i pchłach w brudnych piwnicach. Wiele osób wita działalność samorządów ze znudzeniem i obojętnością. Tumiwisizm grasuje wszędzie. Może rzeczywiście niektóre problemy, rozstrząsane z całą powagą, są naprawdę śmieszne, ale nie można negować użyteczności społecznej samorządów, bez których pomocy administracja bloków byłaby niejednokrotnie bezsilna. Samorządy spełniają w dużym stopniu rolę więzi typu obywatelskiego w miejsce więzi sąsiedzkiej, tak bardzo zdezorganizowanej w nowym budownictwie. Jak wiemy, na nowe osiedla przynoszone są różne tradycje kulturalne zróżnicowanych warstw społecznych czy zawodowych. Mimo dość dużego zróżnicowania społeczności osiedlowej, nie dostrzega się jakichś przedziałów ze względu na rodzaj zajęcia czy wykształcenia, które miały miejsce w przedwojennych „kamienicach".

Mimo pełnej demokracji w tej dziedzinie nie ma wśród mieszkańców bliskiej więzi. Nie mają na to wpływu czyjeś osobiste animozje. Nic z tych rzeczy. Blok, czy nawet osiedle, nie mogą zapewnić swym mieszkańcom całej gamy rozrywek, powiązań towarzyskich itp. Przecież duże miasto ma tak szeroki wachlarz możliwości, jest w nim tak wiele pokus. Co z tego, że **Łódzka Spółdzielnia Mieszkaniowa** dysponuje osiedlowym domem kultury na ul. Podgórnej. Panuje tam całkowita martwota, nic się nie dzieje. Za marne grosze nikt nie chce prowadzić tego domu a społecznie... Dzisiaj to wszyscy pytają się „za ile?". Przyczyna takiego stanu rzeczy tkwi głównie w tym, że spółdzielnia nie dysponuje specjalnymi funduszami na prowadzenie szeroko pojętej działalności kulturalnej. W przyszłości powinno się zdecydować, co z tym fantem zrobić?

W małych miasteczkach czy wsiach, gdzie brak jest atrakcji dużych miast, występuje bardzo wysoki stopień więzi osobistej między obywatelami. Tam wszyscy znają wszystkich. W dużym mieście w osiedlu mieszkaniowym, świetlice czy osiedlowe domy kultury w tej chwili nie są w stanie zmienić istniejącego stanu na lepsze. Dotychczas nikt nie może zaproponować konkretnych posunięć, które mogłyby w jakiś zdecydowany sposób zespolić na gruncie towarzyskim i sąsiedzkim mieszkańców „bloków". A czy kiedykolwiek to nastąpi, trudno w tej chwili wyrokować. Po dwunastu latach wspólnego zamieszkania w osiedlu, przeważającej części mieszkańców odpowiada istniejący stan rzeczy. Wcale nie tęsknią za dawnymi formami sąsiedzkiego współżycia. Jestem przekonany, na podstawie obserwacji i własnych doświadczeń, że ta większość traktuje swoje mieszkanie jako miejsce dobrze zasłużonego wypoczynku. Sąsiedzkie najścia i przysłowiowe zaglądanie do garnków, wypoczynku dać nie mogą. Jako przykład mogę przytoczyć fakt, który mówi sam za siebie. Na trzydziestu lokatorów „bloku" tylko dwie rodziny w zasadzie bardzo się zaprzyjaźniły.

Urbanizacja socjalistyczna wpłynęła gruntownie na zmianę stosunków między ludźmi. Do wielkich rzadkości należą dzisiaj kłótnie korytarzowe, złośliwości spowodowane zawiścią poszczególnych jednostek. Dzisiaj, kiedy wszyscy mają równy start, poza oczywiście nielicznymi wyjątkami, kiedy każdy może zostać członkiem jednej z wielu spółdzielni mieszkaniowych, nie ma nerwowości, zawiści, która tak często spowodowana była zazdrością, że sąsiad miał pracę, a ja jej nie miałem. Wiadomo, że i dziś są rodziny, którym się nie przelewa. Ale tych rodzin jest coraz mniej i nie wisi nad nimi groźba eksmisji.

EUGENIUSZ WOJECH

SURREALIZM

Wśród wielu kierunków i tendencji czasów nowożytnych surrealizm odegrał chyba największą rolę i wszedł na stałe do dorobku kultury. Narodził się i rozwijał w Paryżu, promieniując stąd na inne ośrodki. Jest to już okres w historii sztuki i kultury XX wieku zamknięty, co pozwala na traktowanie go z dystansem właściwym badaczom. Ale badacze, a także ludzie interesujący się tym kierunkiem sztuki, muszą mieć do dyspozycji odpowiednie materiały. Postarał się o to „Czytelnik", który wydał antologię Adama Ważyka pt. „Surrealizm".

Adam Ważyk — wybitny poeta, pisarz i znawca literatury francuskiej — zebrał tylko te materiały, które powstały we Francji i dotyczą „bohaterskiego" okresu surrealizmu, który kończy się wraz z drugą wojną światową. Książkę opatrzył wstępem oraz kalendarium. Antologia zawiera między innymi teksty: Andrè Bretona, Tristana Tzara, Paula Eluarda, Luisa Aragona, Roberta Desnosa. Są to teksty zawierające programowe założenia surrealizmu, jak słynny „Manifest surrealizmu" Andrè Bretona, a zawarł je Adam Ważyk w części pierwszej antologii; są też teksty, które stanowią wybór z praktyki surrealistów. Są więc wiersze, fragmenty opowiadań itp. Ich lektura nie zastąpi wprawdzie pełnej znajomości surrealizmu, może tylko do tego zachęcić, dając jednak podstawową wiedzę o tym kierunku.

Książkę zdobią ilustracje, przedstawiające surrealistyczne malarstwo francuskie. Wstęp Adama Ważyka jest osobną część tej książki, jest esejem o surrealizmie, jego genealogii i miejscu w kulturze XX wieku.

„Surrealizm — Antologia" — Ułożył Adam Ważyk, „Czytelnik" — Warszawa 1973, str. 373, cena: 40,— zł.

„PISANE NOCĄ"

Mirosław Żuławski, autor popularnych, także i dzięki telewizji, „Opowieści mojej żony", zebrał swoje felietony, które od dłuższego czasu drukuje w „Kulisach" i wydał w tomie zatytułowanym „Pisane nocą". Zapewne i ta książka znajdzie uznanie u czytelników, a to przede wszystkim dzięki gawędziarskiemu urokowi prozy Mirosława Żuławskiego.

Trzy motywy przewijają się głównie przez jego felietony. Pierwszy — to refleksje z podróży, a pisarz w swojej dyplomatycznej karierze zjeździł kawał świata i ma o czym opowiadać. Drugi — to wspomnienia z czasów dzieciństwa, młodości, z lat wojny. Trzeci wreszcie motyw — związany jednak z drugim — to przyroda, którą Żuławski zna i czuje, jak rzadko kto. Umie dostrzec jej piękno, umie z przyrodą znaleźć kontakt, który da mu wiele przeżyć i wzruszeń, nie często spotykanych u zafascynowanych dzisiejszym tempem życia ludzi.

Opis nie jest jednak w felietonach najważniejszy, istotna jest tu filozoficzna zaduma nad życiem, przemijaniem czasu, nad poznawaniem samego siebie i szukaniem możliwości zgody ze światem. Urok lirycznych gawęd Mirosława Żuławskiego podnosi ich czysta, piękna polszczyzna, toteż warto tom „Pisane nocą" mieć w swojej biblioteczce. Będzie się chciało wracać do tej książki.

Mirosław Żuławski, „Pisane nocą", „Czytelnik" — Warszawa 1973, str. 331, cena: 18,— zł.

KIESZONKOWA HISTORIA SZTUKI

PWN zrobił to, co od dawna robi się na świecie — wydał **„Historię sztuki w zarysie" Karola Estreichera** w małym formacie „kieszonkowca" na 552 stronach z ilustracjami. Współcześnie, obok wydawnictw monumentalnych, wielotomowych, zawierających dorobek pokoleń z poszczególnych dziedzin wiedzy, popularne są wydania kieszonkowe. Format wydania w niczym nie pomniejsza wartości książki.

Tytuł: „Historia sztuki w zarysie" określa już, że w publikacji znalazły się najważniejsze wydarzenia, fakty, kierunki i tendencje z dziejów sztuki. Układ książki jest chronologiczny: od prehistorii, poprzez sztukę Egiptu, Mezopotamii, Grecji, Rzymu, Bizancjum, poprzez romanizm, gotyk, renesans, barok do sztuki XIX wieku i nam współczesnej. Ale przecież w tym czasie sztuka powstawała i na innych kontynentach. Jest więc rozdział poświęcony „Kulturze Morza Egejskiego", sztuce starochrześcijańskiej Chin i Dalekiego Wschodu, Afryki, Ameryki, Australii i Oceanii.

Karol Estreicher zebrał więc i omówił to wszystko, co wydarzyło się w sztuce na przestrzeni tysiącleci, dając nam syntetyczny materiał, poprzedzając każdy rozdział krótkim streszczeniem, orientującym czytelnika w zawartym materiale. Ma to ułatwiać szukanie, książka bowiem jest przeznaczona zarówno dla tych, którzy interesując się sztuką będą czytali dokładnie rozdział po rozdziale, jak i dla tych, którzy szukać będą wiadomości o poszczególnych faktach, wracając do książki przy różnych okazjach.

Książka jest bogato ilustrowana. Są to jednak ilustracje różnych rozmiarów, niektóre zupełnie nieduże, a przede wszystkim nie najlepiej odbite. Jest też kilka ilustracji kolorowych.

Karol Estreicher — „Historia sztuki w zarysie", PWN, Warszawa — Kraków, 1973 r., str. 552, cena: 65,— zł.

„NAGI PRZYSZEDŁEM"

Jeszcze nie zniknęło z księgarskich półek kolejne wydanie **„Udręki i ekstazy" Irvinga Stone'a**, książki, która jest pasjonującą biografią Michała Anioła, a już „Czytelnik" dostarczył miłośnikom tego typu lektury powieść Davida Weissa pt. **„Nagi przyszedłem"**. Autor, współczesny pisarz amerykański, znany polskiemu czytelnikowi z biografii Mozarta „Miłość święta i nieświęta", tym razem wziął na swój warsztat życie i twórczość znakomitego francuskiego rzeźbiarza — **Augusta Rodina**. W rezultacie powstała pokaźnej objętości powieść, która nie tylko przybliża nam sylwetkę tego wspaniałego artysty, ale i pokazuje Francję z okresu jego życia, a więc od Wiosny Ludów aż po pierwszą wojnę światową.

Książka Weissa jest po części także biografią innych impresjonistów, wśród których Rodin miał wielu przyjaciół, przedstawia także pisarzy i polityków francuskich.

Rodin był zafascynowany geniuszem Michała Anioła, zdawał sobie jednak sprawę, że aby być równie wielkim, trzeba szukać własnych środków wyrazu. W swojej niezwykłej pasji artystycznej obaj rzeźbiarze byli jednak tacy sami. Podobna też była ich droga twórcza.

Skoro mamy po temu okazję, warto zapoznać się z obiema biografiami artystów. Tym bardziej, że jedna i druga powieść są lekturą niezwykle interesującą.

B. M.

David Weiss — „Nagi przyszedłem", Czytelnik — Warszawa 1973, przekład: Wacław Niepokólczycki, stron 705, cena 56,— zł.

Tłumaczyła: URSZULA ŁADA-ZABŁOCKA (5)

— Jak to wykonali? Nie mogą być przecież wszystkie zrobione! Zalegałam z robotą od trzech dni, — Byłam nie na żarty przestraszona. Czyżby ukradł mi część koralików? Co za niegodziwość tak myśleć! Ale to niemożliwe, żeby trzydniową pracę można było już wykonać. — Muszę policzyć nawleczone sznurki... musi być... powinno być... — Ze zdenerwowania ledwo mogłam mówić.

— Jest dziewięćdziesiąt — powiedział Gordon. — O, tutaj, włożyłem je do tego pudełka. Okej?

Wzięłam pudełko. Po jego wadze wiedziałam, że jest w nim dziewięćdziesiąt sznurków. Chciało mi się płakać. Wstyd mi było, ale w dalszym ciągu nie mogłam uwierzyć, że wszystkie są nawleczone.

Trzydniowa ciężka praca wykonana w ciągu...

— Która godzina, Gordon? — spytałam.

— Już minęła pora lunchu. Co życzyłaby sobie pani, Selino D'arcey, na lunch? Czy odpowiadałaby pani Suki-Yaki? A może węgierski gulasz? Lubi pani bażancie języczki? Z pewnością teraz wyobraża sobie pani...

— Proszę cię, Gordonie. — Nie wiedziałam, czemu wszystko, co mówi, pobudza mnie do śmiechu. Sprawia, że czuję się taka lekka i szczęśliwa. I to nie z powodu tego, co mówił, ale ze sposobu, w jaki opowiadał.

— A więc? — zagadnął ponownie.

— Ja mam lunch. — Pokazałam mu torebkę z herbatnikami.

— Tyle co dla jednego ptaszka. Herbatniki są dobre dla ptaków. — Rzucił wysoko w górę moje herbatniki. Słyszałam, jak podnosił rękę, żeby je wyrzucić. — My, ludzie, żywimy się czymś lepszym od herbatników. Znam takie jedno miejsce gdzie są chrupiące buleczki! Selino, lubisz chińskie potrawy?

— Uwielbiam! — wykrzyknęłam. Nigdy nie jadłam chińskich potraw. Zostawił mnie samą.

Kiedy odszedł, znów oparłam się o drzewo. Przytuliłam mój liść do policzka. Jakże kochałam ten mały zwiędnięty listek! Byłam podniecona ze szczęścia. Po raz pierwszy w życiu, po osiemnastu latach, ktoś rozmawiał ze mną, śmiał się, chciał mi pomóc. Drżałam wprost ze szczęścia.

A co będzie, jak Gordon nie przyjdzie? A może po prostu sobie poszedł i nigdy nie powróci? Już tak długo go nie ma. Powiedział przecież „To niedaleko stąd", a nie przychodzi. Mimo to zapamiętam ten dzień jako najszczęśliwszy w całym moim życiu. Tak, na pewno!

Chociaż trawa była gęsta i puszysta, usłyszałam, że się zbliża. Czułam, jak siada przy mnie. Tak się ucieszyłam, że nie mogłam się ruszyć.

I on siedział bez ruchu. Domyśliłam się, że widocznie myśli, że usnęłam. A może to nie Gordon? Może jakiś zły człowiek? Nie mogłam widzieć, nie mogłam też tego wiedzieć. Boże! Jakże pragnęłam widzieć!

— Gordon? — spytałam.

— Aha! myślałem, że śpisz.

— Nie, tylko odpoczywałam.

— Pewnie umierasz z głodu. Zanim jednak coś zjemy, wręczę ci prezent.

— Mnie? Nie, nie! Nie chcę żadnych prezentów, nikt jeszcze nigdy nic mi nie podarował.

— Oto on. Pomacaj tutaj. Niby jeden, a dwa. To ciemne okulary. Włóż je. Chcę zjeść lunch w towarzystwie najładniejszej dziewczyny na świecie. — Podał mi okulary. Włożyłam je.

— Jesteś śliczna. Nie tylko ładna, ale wprost śliczna!

— Uwielbiam je! — wykrzyknęłam. — Gordon, a czy ty też włożyłeś swoje okulary?

— Nie — odpowiedział. — Chcę patrzeć na ciebie.

— Czy naprawdę jestem śliczna? — pytałam z niedowierzaniem. Czy mogę mu wierzyć?

— Wydasz mi się jeszcze śliczniejsza, kiedy już zjemy lunch.

Usiedliśmy pod drzewem. Jedliśmy chrupiące buleczki. Piliśmy wspaniały płynny owoc wprost z butelki. Nie coca-colę. W domu oni oboje pili ciągle coca-colę.

— Gordon, co to za wspaniałe picie?

— Wspaniałe? To jest sok z ananasa. Smakuje ci? — Chyba był śpiący.

— Tak — odparłam. — Smakuje. — Też poczułam się senna. Było bardzo gorąco. Znowu oparłam się o drzewo.

Kiedy się przebudziłam, było już znacznie chłodniej i o wiele ciszej. Wiedziałam, że jestem sama i że to już wieczór. Zawsze wiem, kiedy zapada wieczór. Wtedy wszystkie dźwięki są jakieś inne. Przedtem ledwie słyszalne, wieczorem stają się głośniejsze. Byłam przerażona.

— Gordon? — spytałam. Ale wiedziałam, że go nie ma. Czy rzeczywiście był tu ze mną? Poszukałam pudełka z koralikami. A jednak był tutaj. Kiedy odszedł? Czemu mnie nie obudził? Czy jeszcze się z nim kiedy zobaczę? Inaczej chyba umrę. Mój jedyny przyjaciel, nie licząc Znajdka i pana Fabera. Wiedziałam o tym, a mimo to chciałam umrzeć.

Objęłam ramionami kolana. Skurczyłam się, jak tylko mogłam.

Powiedziałam dziadkowi, że obojętne, kiedy po mnie przyjdzie. Która to może być godzina?

Wytężyłam słuch i wreszcie usłyszałam daleko bicie zegara, wydzwaniającego godzinę dziewiątą. Może nigdy nie przyjdzie?!

Czy noc jest czarna? Czy ktoś może mnie widzieć? Po raz pierwszy w życiu miałam nadzieję, że noc jest czarna i jeszcze raz potwierdziło się, że dziadek mądrze mówił.

Pewnie zbyt zachłannie piłam tyle soku z ananasa, bo nagle zachciało mi się — wiecie co! I to tak raptownie, że nie mogłam zapanować nad sobą. I nie tylko, że mi się zachciało, ale było już po fakcie.

— Przepraszam, czy jest tu kto? — spytałam cichym głosem. — Czy jest tu kto? — powtórzyłam już głośniej.

Poczułam się raźniej. Usiadłam rozpamiętując każdą wspaniałą, wielką chwilę minionego dnia.

Smutno mi się zrobiło, kiedy usłyszałam wołanie dziadka.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Chętnie zostałabym na noc pod moim drzewem w parku.

Poznałam po głosie dziadka, że pił więcej niż zwykle. Był tak pijany, iż cud, żeśmy w ogóle trafili do domu.

Rose-ann jeszcze nie było. Ucieszyłam się z tego.

Dziadek zwalił się ciężko na swoje łóżko i zaczął z miejsca chrapać. Wyjęłam mu górną protezę i włożyłam do szklanki z wodą.

Kiedyś proteza wpadła mu do gardła. Omal wtedy nie umarł.

Wzięłam się do roboty: sprzątnęłam pokój, uprałam dla Rose-ann pończochy i bieliznę. Wyczyściłam buty dziadka, posłałam Rose-ann łóżko — zrobiłam wszystko, co powinno być zrobione w ciągu dnia.

Ale ledwie tylko się położyłam, natychmiast opadły mnie wszystkie strachy świata.

Co to będzie, kiedy Rose-ann i dziadek zobaczą, że wszystkie koraliki są nawleczone? Oni są sprytni. Na pewno będą wiedzieli, że sama tego nie nawlokłam. Co ja mam robić?

Pan Faber był zaproszony na jutro. Wobec tego nie będę mogła pójść do parku. A ja też byłam zaproszona do parku i to do Parku pisanego dużą literą. Tak jakby to były Niebiosa.

Co mam robić? A może pan Faber zabierze mnie do parku? Przecież mógłby! Sam stale powtarza, że powinnam pójść do „barku". „Och, panie Faber — mówiłam do niego w duchu — niech mnie pan zaprowadzi jutro do Parku".

Wreszcie znużona usnęłam.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

— Ho, ho! Moje okulary słoneczne! Wstawaj, kochasiu! — Rose-ann obudziła mnie, szarpiąc za ramię.

Usiadłam.

— Co mówiłaś, Rose-ann? — spytałam. Byłam całkiem zaspana. Rose-ann, jak się domyśliłam, wróciła z miasta. W pokoju czuć było wódkę. Rose-ann pije tylko wtedy, jak wychodzi na miasto. Musi mieć nowego przyjaciela.

Tak samo jak ja. Ja też mam nowego przyjaciela! To mnie zupełnie rozbudziło.

— Co mówiłaś, Rose-ann? — spytałam ponownie.

— Mówiłam, głupku, mówiłam, że dostałam nowe okulary słoneczne.

Jezu! Mój prezent! Zostawiłam je na komodzie. Jakże je odebrać od Rose-ann, która, jak powiadał dziadek, jest twarda. Muszę postępować sprytnie i ostrożnie.

— Czy to te okulary, które leżały na komodzie? — spytałam.

— No pewno. Te same.

— Rose-ann. One są czyjąś własnością.

— Nie wymiguj się! — wrzasnęła. Prawie nie rozróżniałam słów, taki to był bełkot. Muszę nie zwracać na to uwagi. Muszę pomyśleć w jaki sposób odzyskać okulary. Mój prezent, prezent od Gordona!

— Wczoraj znalazłam je w parku. Pójdę sprawdzić, czy ta osoba, która je zgubiła, nie przyjdzie dzisiaj po nie.

— Bzdura! — Rose-ann weszła do łazienki i słyszałam, że płucze gardło.

— Przymknij się tam! Musisz się zachowywać jak świnia? — dziadek był nie w humorze. Dotąd wymyślał, aż Rose-ann przestała gulgotać. Ale to też ją wprowadziło w odpowiedni nastrój. Można powiedzieć, że była wściekła. Odkręciła wodę na cały regulator.

— Hej, ty tam, walkoniu! — wrzasnęła na mnie. — Jazda z łóżka. Wstawaj zaraz!

Zerwałam się. Ciekawa byłam, gdzie położyła mój prezent. Nie miałam sposobu, żeby się dowiedzieć!

— A więc spędziłaś dzień w parku? — spytała Rose-ann swoim uroczystym tonem. — No, jak było? Na medal, co?

— Dzień był na medal! — odparłam. Czy to możliwe, żebym to ja... ja rozmawiała z Rose-ann? Tak dorośle, tak rzeczowo?

— Chora jesteś czy co? — spytała Rose-ann. Podeszła blisko.

— Nigdy nie czułam się lepiej — odpowiedziałam. I znów miałam jakiś inny głos i inne maniery.

— No, a teraz? Co?

Tak byłam zdumiona tym swoim nowym zachowaniem, że zapomniałam się uchylić.

— Też na medal? — spytała.

Nie czułam się już na medal... Na pewno spuchnie mi twarz.

— Wyprałam ci pończochy, Rose-ann. Posprzątałam. Wszystko w pokoju jest jak należy. Widzisz to przecież, prawda, Rose-ann?

Mogłaś zrobić to lepiej — mruknęła. — A jak ci poszło z koralikami?

— Zrobiłam całkiem sporo — odparłam.

Miałam nadzieję, że nie zajrzy do pudełka. Nie potrafiłabym się jej wytłumaczyć.

— Ile tego jest? — dziadek drapał się po brzuchu. Robił to tak głośno, iż zawsze bałam się, żeby nie przebił sobie skóry. — O której wieczorem zabrałem cię wczoraj z parku, Sleena? Ile koralików nawlokłaś? Uha-aa-ha-ha-ha! — dziadek ziewał jak najęty. Nie lubiłam tego, a Rose-ann wpadała w furię. I teraz też złościła się na niego. Byłam oczywiście zadowolona z takiego obrotu sprawy.

Nastawiłam radio.

Śpiewał Frank Sinatra: „Całą drogę..." Zaczęłam gwizdać. Chciałabym usłyszeć płytę z moim gwizdaniem. Wiedziałam, że to naprawdę potrafię dobrze robić. Brałam niskie tony. Rzeczywiście pięknie gwizdałam.

— Zamknij się! Zamknij gębę! Nastaw kawę! — dziadek miał kaca i to paskudnego. Wszedł do naszej malutkiej łazienki i zaczął się golić.

Po goleniu stawał się przyjemniejszy. Zawsze tak było. Rety! Cieszyłam się, że nie muszę się golić. Gdybym się goliła, dopiero bym sobie pokiereszowała twarz! I nagle poczułam się szczęśliwa, że jestem dziewczyną. Nigdy przedtem nie przyszła mi nawet taka myśl do głowy.

„Ale gdybym cię pokochał" — śpiewał Frank Sinatra.

— O rany! Kto nawlókł te wszystkie koraliki? — wrzasnęła Rose-ann.

Och! Otóż przyszło najgorsze, pomyślałam.

— Kto to wszystko posegregował i nawlókł? — pytała Rose-ann.

— Ja — powiedziałam. — Ja to zrobiłam — poprawiłam się. — Któż by inny? Kto poza mną nawleka kiedy koraliki?

— Jeszcze ci mało? Nadstawiasz drugi policzek? Nikt nie mógłby zrobić tego w jeden dzień. Gadaj prawdę. Coś mi tu śmierdzi. — Czekała na moją odpowiedź.

(Dalszy ciąg nastąpi)

ŁÓDZKA WIOSNA ARTYSTYCZNA 5

Kiedy rozmawiamy o amatorskim ruchu artystycznym w środowisku robotniczym mamy zazwyczaj na myśli funkcjonowanie rozbudowanego systemu placówek kulturalnych, które mogą poszczycić się bogatym dorobkiem w tej dziedzinie. Patronują one działalności chórów, zespołów muzycznych i tanecznych, teatrów poezji, jednym słowem tym wszystkim przejawom twórczej działalności, które bliskie są kulturze uprawianej przez profesjonalistów. To zresztą zupełnie zrozumiałe, że nawiązuje się w tej działalności do wzorców gatunkowo najwyższych, artystycznie najdoskonalszych.

A jednak mimo standaryzacji kultury istnieje w amatorskim ruchu artystycznym nurt do tej pory prawie niezauważony, który czeka dopiero na swojego Kolberga. Mam na myśli spontaniczną twórczość robotniczą reprezentowaną przez plebejskich pieśniarzy, recytatorów, poetów. Mam więc na myśli to wszystko, co można bez wahania nazwać folklorem robotniczym, folklorem ludu miejskiego. Jest to twórczość nieoczekiwanie bogata, a przy tym stanowi wzruszający dokument nastrojów proletariackich sprzed dziesięcioleci, wiernie odbijający tęsknoty, nadzieje i aspiracje klasy robotniczej.

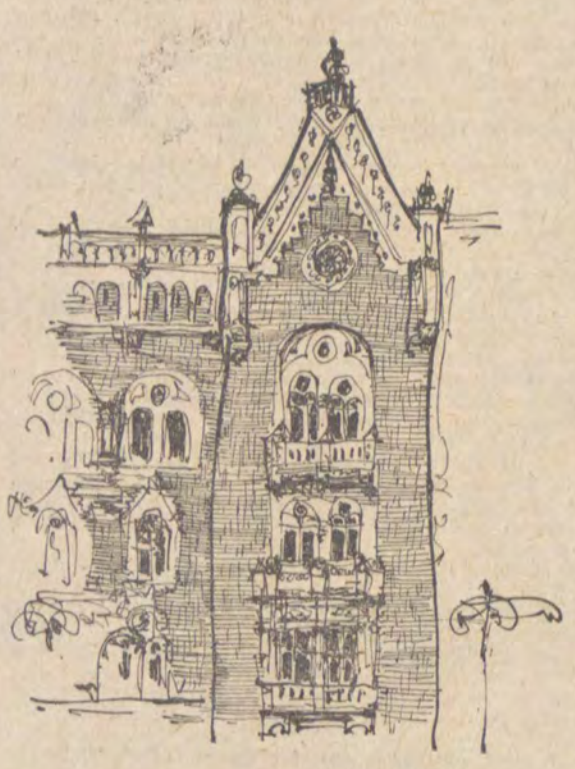

Dom przy ul. Narutowicza *Rys. W. Kondek*

FOLKLOR ROBOTNICZEJ

„Tam gdzie ruch fabryczny wre,
tam gdzie pył twe płuca żre,
gdzie transmisji pas pędzi cały czas,
dziewczę tam pracowało,
rąk swych nie żałowało,
dla matki swej, by ulżyć jej,
uwierzyć chciej.
A motor huczy jakby nic
i chociaż pot jej spływa z lic,
motor maszyna głucha,
jej skarg nie słucha
i nie wie nic,
motor to rzecz bez duszy,
nic go nie wzruszy, ni ból, ni łzy".

Oto początek piosenki popularnej w Łodzi w latach trzydziestych, w latach kryzysu ekonomicznego, którą z okazji ogłoszonego przez Polskie Towarzystwo Ludoznawcze konkursu folklorystycznego przypomniała na estradzie robotnica, Kazimiera Efenbergier. A konkurs ten, jak zapewniają etnografowie, przyniósł obok bezcennych dla naukowców materiałów dotyczących zwyczajów i obrzędów (opisy wesel, zwyczajów dorocznych, gier i zabaw) obszerny zbiór pieśni i piosenek śpiewanych przez łódzkich robotników: pieśni, jak się okazało, popularnych do dziś, skoro ze swoim repertuarem zgłosiło się do konkursu 30 pieśniarzy, 15 zespołów muzycznych i 4 indywidualnych muzyków.

Zajrzyjmy do metryk wykonawców. Oto kapela podwórkowa Mariana Iwańskiego, popularnego łódzkiego muzykanta, który rozpoczynał swoją działalność w okresie międzywojennym zdobywając w latach trzydziestych nagrodę w przeglądzie kapel zorganizowanym przez restaurację „Tivoli". Dziś występują wraz z ojcem trzej jego synowie. A przecież wśród produkcji tej kapeli nie brak pieśni opiewających dolę robotników łódzkich w okresie przedwojennym, nie brak też utworów satyrycznych, tryskających plebejskim dowcipem, nie brak wreszcie takich, które sławią Łódź jako miasto rodzinne.

Wśród indywidualnych muzyków nie brakowało takich, którzy urodzili się jeszcze w ubiegłym stuleciu. Emerytowany drukarz tkanin Józef Świątkowski uprawia grę na dłoniach wydmuchując przed siebie powietrze, Edward Kowalski jest wirtuozem w grze na organkach.

Ale najobfitsze materiały o upodobaniach robotników łódzkich przyniosły występy pieśniarzy. W ich repertuarze, najczęściej anonimowego pochodzenia, chociaż zdarzały się także kompozycje własne, znalazły się utwory o wyraźnym, lokalnym zabarwieniu, mówiące o Bałutach, Chojnach czy wprost o tym, co zdarzyło się na rogu ulicy Franciszkańskiej. Stara robotnica Stanisława Hanertowa z autentycznym wzruszeniem śpiewa balladę o fabrycznej dziewczynie. Młodziutka Krystyna Rosiakówna z towarzyszeniem kapeli Mariana Stysiaka zorganizowanej z inicjatywy Tadeusza Rosiaka wykonuje przejmującą piosenkę „Mój ojciec nie mógł dostać roboty". W piosenkach innych wykonawców, takich choćby jak Franciszka Gawlicka, Helena Baranowska, Zofia Zakrzewska, Helena Michalska, Stanisław i Stefania Rudniccy, Stanisław Pindakiewicz, Zofia Swędrak powtarzają się mo-

GOŚCIE Z PRAGI

To był już trzeci występ artystów z praskiej dzielnicy Libeń w Łodzi. Dwa poprzednie miały miejsce w 1963, i 1965 r. Teatr Powszechny z Łodzi zrewanżował się także trzema wizytami w Pradze: w 1963, 1965 i 1967 r.

Najświeższą premierą Teatru S. K. Neumanna która odbyła się w Pradze 25 maja br. w obecności ambasadora PRL Lucjana Motyki, był „Urząd" Tadeusza Brezy. Zaś Teatr Powszechny planuje wystawienie w przyszłym sezonie czeskiej sztuki **„Marysia"**, napisanej w końcu XIX w. przez znanego pisarza **Vilema Mrsztika** wraz z bratem **Aloisem**. Łódzkie przedstawienie reżyserować będzie gościnnie **Vaclav Lohnisky** z Teatru S. K. Neumanna, zaś scenografię zaprojektuje **Vladimir Synek.**

Wiele teatrów w Polsce utrzymuje mniej lub bardziej sporadyczne kontakty z teatrami w bratnich krajach socjalistycznych. Dziesięć lat współpracy Państwowego Teatru Powszechnego **(PTP)** z Teatrem S. K. Neumanna **(SKN)** należy na tym tle do najbardziej konsekwentnych i efektywnych. Ta współpraca się udała! Przyczynia się do zbliżenia kultury czeskiej nam, a prażanom — kultury polskiej, co odnotować należy z zadowoleniem.

Źródeł sukcesu można by się dopatrzeć w pewnych podobieństwach obu scen. Praski Libeń to dzielnica zamieszkała głównie przez ludność robotniczą, a **SKN** jest najdalej położony od Vaclavskich Namesti, ze wszystkich teatrów stolicy CSSR. To może w pewnym sensie ukształtowało profil **SKN** jako sceny popularnej, ludowej, rozrywkowej (to określenie nie oznacza bynajmniej zaniżania poziomu), cieszącej się u publiczności zasłużonym powodzeniem.

W ciągu XXV lat istnienia (uroczystości jubileuszowe przypadną w październiku br.) **SKN** dał ponad 200 premier, wpisując się trwale do kronik życia teatralnego Czechosłowacji. Znalazło to powszechne uznanie, którego wyrazem jest m. in. otrzymana przez teatr Nagroda Państwowa im. Klementa Gottwalda, Nagroda m. Pragi i inne. Warto dodać, że patronem teatru jest awangardowy poeta czeski, którego twórczość przypada głównie na okres międzywojenny, jeden z członków — założycieli Komunistycznej Partii Czechosłowacji, **Stanislav Kostka Neumann.**

SKN ma profil podobny do tego, jaki wypracował sobie nasz PTP, usytuowany na Bałutach. Popularny repertuar tej sceny, nastawiony na krzewienie kultury teatralnej i niesienie rozrywki widzom o różnym stopniu przygotowania, powoduje, że teatr ten uznać można „powszechnym" nie tylko z nazwy.

50-osobowy zespół, który gościł w Łodzi, przywiózł ze sobą znad Wełtawy 3 widowiska, a mianowicie: Ivana Olbrachta i Karela Pokornego **„Brat Żak"** (reż. K. Pokorny), Josefa Kajetana Tyla **„Poseł wiejski, czyli Prawdomówność"** (reż. Jen Strejczek) i mollerowskie **„Szelmostwa Skapena"** (reż. V. Lohnisky). Scenografię do wszystkich trzech spektakli zaprojektował Vladimir Synek.

O takim doborze repertuaru zadecydował wzgląd na komunikatywność. Mimo podobieństwa naszych języków, spektakle, w których dominującą rolę spełniają niuanse tekstu, byłyby dla polskiej publiczności niezrozumiałe. Dlatego zapewne zabrakło reprezentacji współczesnej dramaturgii czechosłowackiej. Najbliższy współczesności, dzięki osobie autora, był pierwszy z wymienionych spektakli. **„Brat Żak"** jest dokonaną przez Pokornego adaptacją opowiadania I. Olbrachta. Opowiadanie pochodzi wprawdzie z 1913 r., ale sam Olbrycht, wybitny powieściopisarz, komunista zmarły w 1952 r., należy z pewnością do współczesnej kultury CSSR.

Adaptator i inscenizator Pokorny nadał temu poetyckiemu opowiadaniu o losach i degradacji rodziny cyrkowców płynność narracji filmowej. Dopomogły mu w tym efektowne i funkcjonalne dekoracje. Nastrojowość sztuki wzbogaciło bardzo dobre aktorstwo. Należałoby głównym wykonawcom wystawić osobno wysokie noty za opanowanie akrobacji parterowej, zonglerki, i innych ewolucji, jakich nie powstydziłby się niejeden cyrk.

Z pozycją o charakterze rozrywkowym, o zupełnie innym ciężarze gatunkowym, mieliśmy do czynienia w przypadku **„Posła wiejskiego"**. Jest to ramotka w stylu nieco dickensowskim z lat trzydziestych ubiegłego stulecia. Tekst raczej blady, ale podany w smacznej oprawie scenograficznej (obracane na oczach widowni wielkie karty starego kalendarza, bogato ilustrowanego i okraszonego konceptami) i z miłą, wpadającą w ucho oprawą muzyczną. Teksty piosenek wyznaczające żartobliwy dystans współczesnego człowieka do rozgrywanej fabułki napisał Ivo Fischer do muzyki Petra Hapka, zaś podawał je kulturalnie i z humorem Jan Faltynek.

Prawdziwym przysmakiem dla teatromanów był spektakl mollerowski. Tu najmniej dawała o sobie znać bariera językowa. Nie tylko dlatego, że przecietny bywalec teatru zna dobrze **„Szelmostwa Skapena"**, ale także dla ogromnej wyrazistości i komunikatywności konwencji przyjętej w tym przedstawieniu.

Łacińska nazwa „Neapolis" stanowiąca stały element dekoracji wyznaczała jednocześnie charakter gry aktorskiej. Tekst interpretowany był po neapolitańsku, z egzaltacją, brawurą, tempem i humorem.

W **Janie Faltynku** znalazł reżyser idealnego wręcz odtwórcę tytułowej roli. Każde jego pojawienie się na scenie, a właściwie na estradce jarmarcznego teatrzyku, wzmagało i tak zawrotne tempo, budziło wesołość.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

„Podróżować, oglądać dwory i przyglądać się armiom, bywać u ludzi rozmaitego usposobienia i kondycji, gromadzić różnoraka eksperiencję, doświadczać samego siebie wśród odmian fortuny..." — Kartezjusz wertując Wielką Księgę Świata.

* * *

O expressie międzynarodowy, wyruszający bladym świtem z Koluszek — ty rzeźnio moich uczuć; nic nie znaczący podrygu w wielkiej pantomimie świata; iskierko beznadziei, zgubiona z paleniska tęsknoty — darzę cię miłością tak czystą, jak oczy sarny ustrzelonej w skoku. Bywa, pytają mnie ludzie, kim jestem? Odpowiadam, że jestem globtrotterem. Spoglądają na mnie dziwnie... Moja pierwsza żona pytała mnie: — słuchaj, kim ty jesteś? Odpowiadałem: — globtrotterem jestem. Porzuciła mnie rychło dla pewnego zegarmistrza, który za sprawą postępującego paraliżu nie wstawał z wózka. Moja druga żona też pytała mnie w różnych sytuacjach: — słuchaj, co ty właściwie robisz? Odpowiadałem niezmiennie: — globtroteruję. Cóż jej mogłem innego odpowiedzieć? Odeszła w pewien jesienny, chmurno-jesienny wieczór, który był następstwem złocisto-jesiennych wieczorów, odeszła do ruchu amatorskiego, zrażona raz na zawsze do sztuki czystej, chociaż to ja właśnie nauczyłem ją odróżniać wczesnego Braque'a od późnego Picassa. Zdarzy się, spotkam kumpla z lat szczenięcych: — Cześć stary! — woła, gdzie byłeś, jak cię nie było? — Jeździłem. Daleko. — odpowiadam szeptem. Popatrzy na mnie z zawiścią, ale podejrzliwie i żegna się szybko. Poderwę dziewczynę — modne jest podrywanie na kolekcję korespondencji z jakimś sławnym albo znanym facetem; może to być Artysta, Piosenkarz, albo Inny Taki; jeden mój znajomy podrywa na kilka listów Gieniaka, a inny rwie już siedem lat na trzy pocztówki od Niemena. Więc bywa, że poderwę dziewczynę — bo nie powiem — też mam spory zbiór korespondencji z Różnymi Istotnymi Osobistościami i jestem właśnie przy najciekawszych fragmentach kolekcji, gdy niespodziewanie natarczywy brzęczyk mojego srebrnego szafhauzena (w którego mechanizm wmontowany jest magnetofon, gwizdek lokomotywy, busola typu „Nelson" i złota rybka miast sekundnika, a którego kopertę projektował sam Carlo Arpa, dając mi tym do zrozumienia, że czas mój dobiegł końca i że powinienem znaleźć się czym prędzej na którymś z dworców (nazwę mam nagraną na magnetofon, ale są to zwykłe Koluszki), a nie tkwić tu dłużej z poderwaną... Żegnajcie ulotne chwile szczupłej, długonogiej radości. Tak, jak kaskader bowiem jest człowiekiem, który spada, globtrotter jest od tego aby się przemieszczać i różnoraką gromadzić eksperiencję.

* * *

W dworcowym bufecie podkrada się do mnie pięcioletni człowieczek z buzią amorka i oczętami zgłodniałego szakala. Staje naprzeciwko i obmacuje mnie łakomie tymi oczętami błękitnymi, w których czai się największe okrucieństwo świata, bo niewinne i z niewinnej nieświadomości zrodzone. I już jestem pewien, że dojdzie do jakiejś awantury, ale jeszcze usiłuję ratować swoją skórę. — Kim chciałbyś być, synu — pytam pogodnie i na pozór obojętnie — lotnikiem pewnie? Malec, nie przestając się na mnie gapić, przecząco kręci płową główką.

— To pewnie chciałbyś być milicjantem, albo może strażakiem? — staram się nadać swemu głosowi nuty prawdziwej sympatii i zainteresowania. Mały Dżyngis-chan milczeniem wyraża swą dezaprobatę do tych zawodów. — Na pewno będziesz kowbojem? — głos mój przypomina chrypienie umierającego karibu. Znowu łagodny ruch głowiną i szatański błysk błękitnych oczat. — To na pewno chciałbyś zostać kolejarzem — pot zimny strugami spływa mi wzdłuż kręgosłupa. Oczy wielkie i gładkie patrzą na mnie z politowaniem i ciekawością. — A czym chciałbyś być, jak będziesz duży? — chwytam się ostatniej deski ratunku. Malec spogląda na mnie jak na motyla przyszpilonego do deseczki. — Kazikiem — odpowiada. Błysk nadziei rodzi się w moim sercu! — A jak się nazywasz, dziecino? — jestem w tej chwili samą słodyczą, kawałkiem czekolady Van Houttena, gumą do żucia za sześć złotych sztuka w komisie. — Kazio — odpowiada mi z pogardą w głosie malec i odchodzi krokiem chirurga, który wyciął wszystko, co miał do wycięcia...

* * *

Przed wyjazdem podryw mi nie wyszedł i oglądałem jakiś program w publikatorze. Publikator, podobnie jak telewizja, może być czarny i kolorowy. Może dawać rzeczy ciekawe i nudne. Mądre i głupie. To, co oglądałem, było całkiem dobre. Pewien facet tłumaczył drugiemu facetowi, że do kraju wraca Krzysztof Baranowski i że istnieje narodowa konieczność urządzenia mu okazałego przyjęcia, a nawet udzielenia mu czegoś, co w Rzymie starożytnym określono mianem „przyznania prawa do triumfu". Takie coś przyznawano zwykle wodzom, po jakiejś grubszej awanturze, z której Rzymianie wychodzili cało. Wódz z orszakiem i zdobyczą miał prawo przejechać na rydwanie przez Forum Romanum, gdzie cienie cezarów i tłumy żywych wiwatowały na jego cześć. Z Baranowskim miałoby się dziać podobnie. Facet w publikatorze proponował, aby przy wjeździe Żeglarza do stolicy grały mu surmy zbrojne, klaksony samochodów, śpiewały chóry profesorów, dzieci, żołnierzy, matek i mężatek, żeby były lampiony, białe synogarlice wypuszczane co sześćdziesiąt sekund, a z największego placu Europy miałby ulecieć oryginalny albatros specjalnie obrączkowany z okolicznościowym listem i z prośbą, aby szczęśliwy znalazca odesłał go z powrotem. Miałyby być jeszcze orkiestry rżnięte, dęte i dmuchane (wszystkie amatorskie) i przemówienia równie częste, jak wypuszczanie synogarlic białych. Ponadto transparenty. Facet w publikatorze motywował to tym, że jesteśmy krajem przemysłowo-rolniczo-morskim i że samotne rejsy dookoła świata są nam w tej chwili bardzo potrzebne, stanowią bowiem oczywisty dowód naszej potęgi na morzach i oceanach, tudzież Bałtyku.

Uważam takie pomysły za bardzo słuszne i celowe — a człowiek w podróży ma czas, aby rzeczy każdej z wielu stron się przypatrzeć i dotrzeć do jej sedna. Chociaż właściwie nie jestem pewien do końca, czy program ufetowania Żeglarza jest w pełni pełny. No, bo jak właściwie Baranowski z Wybrzeża do Warszawy dojedzie? Pociągiem? Samochodem? Samolotem? „Polonezem" transportowanym na platformie ciąg-

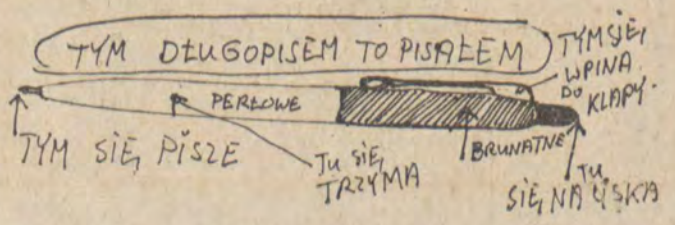

tywy pracy, walki, ale nie brak także humoru, bystrej obserwacji obyczajowej. Bogactwo tych motywów, bogactwo nastrojów musiały być zaskoczeniem nawet dla badaczy folkloru robotniczego, gdyż do tej pory stosunkowo najlepiej poznany został zaledwie folklor rewolucyjny, który doczekał się paru, dalece zresztą niekompletnych, zbiorów pieśni, takich choćby jak wydana w Łodzi „Czerwona lutnia" opracowana przez Eugeniusza Ajnenkiela.

W dobie radia i telewizji, filmu, tłoczonych w setkach tysięcy egzemplarzy płyt gramofonowych nie ma miejsca na spontaniczną twórczość amatorów ze środowiska robotniczego. Kultura proletariacka doznała artystycznej nobilitacji, ale też jednocześnie ograniczenia, bo jak wspomniałem dostępność kultury o najwyższym poziomie pozbawiła w jakiś sposób racji istnienia ulicznych grajków i pieśniarzy, którzy swoimi produkcjami poruszali przed laty łódzką ulicę. Ale folklor robotniczy zachował się do naszych czasów i wymaga nie tylko poznania, lecz i upowszechnienia. Mówi wprawdzie o nastrojach przeszłych, ale wzrusza jeszcze dziś swym autentyzmem jak tego dowiódł zresztą wielki koncert finałowy Konkursu Folkloru Robotniczego Łodzi na Placu Zwycięstwa, gdzie tysiące widzów podchwytywało słowa pieśni wykonywanych na estradzie. Było w tym coś z nastroju ogromnej robotniczej majówki, której widownią było przed laty to samo miejsce nazywane wówczas Wodnym Rynkiem.

Łódzki konkurs przypomniał nam, a zarazem uprzytomnił bogactwo i wartość folkloru miejskiego. Ale uprzytomnił nam zarazem ogromną lukę w badaniach nad przeszłością robotniczego miasta: nad rodowodem jego kultury wytworzonej przez proletariat fabryczny. Ta kultura dnia wczorajszego domaga się zachowania, warto wszakże prześledzić jaka przeszła ewolucję. Toteż niezależnie od bogactwa materiałów folklorystycznych jakie wpłynęły na łódzki konkurs, wartość jego polega także na tym, że uprzytomnił potrzebę organizowania dorocznego Festiwalu Kultury Robotniczej obejmującego swym zasięgiem cały kraj. A Łódź, która pierwsza w Polsce podjęła badania nad folklorem robotniczym, z racji swych tradycji rewolucyjnych i z racji swego przemysłowego charakteru, jako ogromne skupisko klasy robotniczej, predestynowana jest najbardziej na gospodarza takiego festiwalu.

ŁODZI

KONRAD FREJDLICH

JAN FALTYNEK w „Szelmostwach Skapena"

nikowej? To wszystko jakieś nie takie. Proponuję, aby z Wybrzeża do stolicy przenieśli Baranowskiego na ramionach ci wszyscy, którzy jemu i Telidze przeszkadzali i utrudniali realizację rejsów, co banderę polską rozsławili... Byłbym nawet za tym, aby z fanfar i synogarlic i albatrosa oraz profesorów i lampionów zrezygnować — za te pieniądze i tę energię można by wybudować jakiś mały, albo trochę większy jacht. Obstawałbym przy samej podróży Baranowskiego do stolicy rozstawnymi „przeszkadzaczami". Może okazałoby się w ten sposób, że w Polsce mamy nie jednego Baranowskiego, a możemy ich wiązać w całe pęczki i że dla Polaka samotny rejs dookoła świata to drobna kaszka. Francuzów, Jankesów i Anglików szlag by przy okazji trafił na amen.

* * *

— Panie, a wiesz pan, co to jest takiego dziwok? — przerywa moje rozmyślania jakiś jegomość z zielona ubrany, z dubeltówką marki „Diana de Lux".

— No — powiadam niepewnie, bo znowu węszę jakiś podstęp — dziwok to dziwok...

— Głupiś pan, jak nie przymierzając hubka na sośnie — on na to. — Dziwok to młody sokół, co z gniazda świeżo wylazł i o polowaniu pojęcia zielonego nie ma, czyli po prostu nie ułożony jest jak trzeba. U Glocgera panie, Zygmunta — nie myl pan go czasem ze Stasiem Glocgerem — pisze wyraźnie: „Dziwok w staropolszczyźnie znaczy dziki; mówiono: wieprz dziwoki (tj. dzik) koza dziwoka (tj. górska). Sokoły i „dziwoki" trudniejsze są do ułożenia, niż „gałęźniki", mają od tych ostatnich lot bystrzejszy, większą siłę i odwagę".

* * *

Telidze nie wierzono w portach świata, że jest z Polski, że płynie na polskim jachcie, pod polską banderą. Jaką cenę zapłacił za to, aby te prawdy udowodnić? Wiemy. Ile trudu kosztowało Baranowskiego odcumowanie „Poloneza" od nabrzeża? A teraz „przeszkadzacze", chcą ich fetować orkiestrą dętą (amatorską oczywiście). „Przeszkadzacze" są podobni bowiem do żab, co w kuźni podsuwają nogę, gdy konie kują. Osobiście byłbym za tępieniem „przeszkadzaczy", a na pewno nie należy im sprzedawać biletów na międzynarodowe expressy. Niech się tłuką bryczkami.

GLOBTROTTER

CZAS PRZESZŁY — TERAŹNIEJSZY (IV)

SZKOŁA ZOJI I SZURY

Początek historii można by ująć w kilku zaledwie zdaniach. Zoja urodziła się 13 września 1923 roku. Chodziła do szkoły. Była uczennicą X klasy. Kiedy zaczęła się wojna — podjęła decyzję, kiedy hitlerowcy zbliżali się do Moskwy — wstąpiła do partyzantki, działającej na tyłach wroga. Walczyła w oddziale Borysa Krajnowa, w zgrupowaniu Artura Sprogisa. 28 listopada 1941 roku wpadła w ręce faszystów, a następnego dnia po torturach, w czasie których nie wydała nikogo, na pokazowej egzekucji we wsi Petriszczewo została powieszona. Miała osiemnaście lat i dwa miesiące.

Jej młodszy o dwa lata brat, Szura, zginął w płonącym czołgu na przedpolach Koenigsbergu w 1945 r. Miał lat dwadzieścia. Obydwoje zostali pośmiertnie odznaczeni tytułami Bohaterów Związku Radzieckiego. Byli to ZOJA i ALEKSANDER KOSMODEMIAŃSCY. Obydwoje chodzili do zwyczajnej szkoły w timirjaziewskim rejonie Moskwy jest to 201 szkoła średnia, nagrodzona orderem Czerwonego Sztandaru. Dziś szkoła im. Zoji i Szury Kosmodemiańskich.

Data śmierci Zoji zbiega się z najcięższymi dniami bitwy pod Moskwą — bitwy o Moskwę, a może nawet o losy tej wojny. Kleszcze ataku — okrążenie od północy i południa miały się zamknąć zgodnie z operacją „Tajfun". Linia frontu liczyła około 600 km. Nieprzyjaciel zebrał na tym odcinku przeszło dwa razy więcej czołgów, dwa razy więcej artylerii. Z rejonu Chimek i Krasnej Polany do Moskwy był tylko jeden skok — około 25 kilometrów. Wojna składała się tu z epizodów. Jednym z nich było niespodziewane pojawienie się niewielkiej kolumny niemieckich motocyklistów spokojnie, niemal bezpiecznie jadących w stronę Moskwy. Kolumnę rozbito na 23 kilometrze leningradzkiej szosy — tam, gdzie skrzyżowane na skos belki wyobrażają teraz zapory przeciwczołgowe. Drugim epizodem niech będzie rozmowa telefoniczna. W Moskwie dzwoni telefon. Ktoś podnosi słuchawkę. W niej kobiecy głos:

„Mówię z Krasnej Górki. U nas — Niemcy"...

Trzecim epizodem niech będzie bohaterska walka marynarzy z Oceanu Spokojnego pod Białym Rastem. Dzięki tym epizodom w ostatnich dniach listopada i w pierwszych dniach grudnia — **„na froncie nic się nie działo":** front stał w miejscu. 6 grudnia ruszył. Ale już w drugą stronę — na zachód.

Epizody mają to do siebie, że nie zostają w historii, przechowuje je tylko pamięć tych, którzy byli uczestnikami tych epizodów. Jeśli wiem, trudno dziś rozstrzygnąć, która wieś — jako pierwsza — została odbita. Może właśnie Biały Rast? Znane jest za to pierwsze miasto: **Jachromę oswobodzono 6 grudnia 41 roku. 66 kilometrów na północ od Moskwy.**

Aby uzmysłowić sobie jak to było — trzeba zapomnieć kadry filmów i opisy z książek. Trzeba uzmysłowić sobie, że ten „przełomowy moment" bitwy o Moskwę trwał blisko pięć miesięcy — od grudnia 1941 roku do kwietnia 1942. Trzeba wziąć mapę i znaleźć na niej linię frontu: nawisłą nad Moskwą od góry, od północy lekko cofniętą u dołu, od południa. Trzeba pojechać tam i zobaczyć tę olbrzymią przestrzeń, na jaką rozciągnięty był moskiewski front. I jednocześnie — jak już blisko było do Moskwy.

Widziałem tylko kilka odcinków linij walk. Byłem we wsi Lenino, na 42 kilometrze szosy wołokołamskiej, gdzie wielkie, sterczące w niebo trójkąty, symbolizujące zapory przeciwczołgowe i stojący na wysokim postumencie czołg T-34, wyznaczają granicę: dotąd doszli. Byłem na wzgórzu koło Jachromy. Tam, gdzie teraz stoi widoczny z daleka pomnik obrońców Moskwy — byli już Niemcy. Ze wzgórza, z którego jak na dłoni widać płynący w dole kanał Moskwa-Wołga, przez powiększające szkła można też było zobaczyć przedmieścia Moskwy. Widziałem miasteczko Istra, Kriukowo, Biały Rast, Krasną Polanę — tę niewielką na mapie część zachodnio-północnej linii obrony, która zadecydowała o losach bitwy. Ale czy zadecydowało tylko to, co działo się na froncie? Myślę, że również doniosłe znaczenie miało to, co działo się w bezpośrednim zapleczu frontu — w stolicy kraju, w Moskwie. Nawet wtedy, kiedy w sztabach planowano dalszą obronę już po poddaniu Moskwy — nikt z jej mieszkańców nie wierzył w tę ewentualność. Poczucie niebezpieczeństwa wyzwalało tylko aktywność, ofiarność. Skłaniało do czynów — tych zapisanych w historii i nie zapisanych — dzięki którym Moskwa nie uległa.

Imię Zoji Kosmodemiańskiej nadano Szkole Średniej nr 201 w 1944 roku. W piętnaście lat później nazwano ją imieniem Zoji i Szury. Po wojennej przerwie szkoła rozpoczęła pracę w 1943 roku. Od 1945 roku istnieje tu muzeum.

Po muzeum oprowadza mnie dziesięcioletnia uczennica czwartej klasy (jest tu jednocześnie szkoła średnia i podstawowa), ładniutka, czarnowłosa **Marina Biezsmiertnaja.** Marina Nieśmiertelna — jeśli wolno tłumaczyć nazwiska. Mówi głosem pełnym dziecięcego, ale szczerego patosu. Ma dwa cienkie warkoczyki z wielkimi kokardami wstążek, czerwoną pionierską wstążkę pod szyją. Marinka Biezsmiertnaja oprowadza mnie po trzech niewielkich pokojach, w których zebrano dokumenty z krótkiego życia i męczeńskiej śmierci dziewczyny, tylko o osiem lat starszej od niej. Czy to dziecko to rozumie? A jeśli rozumie — to jak? W jaki sposób myśli o tym, jak sobie wyobraża te fakty — już poza tekstem, który wygłasza z takim przejęciem? Czy dziecko — właśnie dziecko — może przeżyć czyjąś odległą w czasie śmierć? Pewnie bliższe są jej rozumieniu i odczuciu zeszyty i świadectwa szkolne Zoji, rysunki Szury — ale te fotografie: Zoja prowadzona w koszuli po śniegu, Zoja na szubienicy — obok tłum spędzonych na egzekucję mieszkańców wsi Petriszczewo — czy to się mieści w wyobraźni dziecka? Co lubi Marinka Biezsmiertnaja? Śpiewać, tańczyć jeść lody? W co bawi się z koleżankami? Myślę o tym, kiedy słyszę jej czysty, ładny głos, kiedy śpiewnie deklamuje straszne słowa:

„Zwracając się ku faszystom dziewczyna krzyczała: Teraz wy mnie powiesicie, ale ja nie jestem jedna. Jest nas dwieście milionów, wszystkich nie powywieszacie! Oni pomszczą mnie. Żegnajcie, towarzysze! Walczcie! Nie bójcie się!..."

Szkoła imienia Zoji i Szury jest niepozorna, zwyczajna. Stoi przy cichej uliczce, daleko od centrum Moskwy, na jej zapleczu rozciąga się spory sad, który jest dumą uczniów i nauczycieli. Muzeum w szkole składa się nie tylko z trzech sal, właściwie cała szkoła jest tym muzeum. W obszernych korytarzach na parterze i pierwszym piętrze wiszą na tablicach zdjęcia żołnierzy — uczniów tej szkoły. Jest tych zdjęć bardzo wiele, w archiwach zaś szkoły znajduje się równie wiele zapisanych dziecięcymi rękami arkuszy papieru: uczniowie szkoły 201 przez całe lata gromadzili wiadomości o swoich starszych kolegach; przeprowadzali wywiady z ich rodzicami, szperali w archiwach państwowych, uczyli się historii najbliższej i najmocniej trafiającej do przekonania. Ale ta mądrze prowadzona i kierowana praca wielu pokoleń uczniów jest ważna nie tylko dlatego, że przyniosła plon w postaci wielu archiwaliów, którymi szkoła słusznie się szczyci. Jest ona ważna przede wszystkim dlatego, że związała ze szkołą wielu absolwentów i rodziców tych uczniów, którzy już nigdy nie wezmą udziału w organizowanych co roku zjazdach koleżeńskich. Przychodzą tu od święta i na co dzień ludzie starzy, osamotnieni w najdotkliwszy sposób: ci, których synowie i córki polegli na wojnie. Przychodzą, patrzą na fotografie swoich dzieci, fotografie umieszczone w długim rzędzie honorowych tablic, wracają pamięcią do tamtych lat, opowiadają o tym, jak było. Znaleźli nowy sens w swoim sierocym życiu: są komuś potrzebni, mogą komuś powiedzieć o swym smutku i swej dumie. Jest ich wielu. Wśród nich — **Lubow Kosmodemiańska,** matka Zoji i Szury, która jest członkinią podstawowej organizacji partyjnej, działającej przy Szkole.

Mikołaj Borisow, obecny długoletni dyrektor 201-szej Szkoły Średniej dowiedział się o śmierci Zoji Kosmodemiańskiej w okopach Stalingradu. Po ukończeniu Instytutu Pedagogicznego rozpoczął pracę jako nauczyciel. Był to 1 września 1939 roku, w dzień — co podkreśla z naciskiem — wybuchu wojny polsko-niemieckiej. Przedtem, przed Instytutem służył w wojsku, 6 lat spędził na Dalekim Wschodzie. Toteż należał do tych, wcześnie zmobilizowanych: 1 czerwca 1941 roku znalazł się znów w szeregach armii. Już 27 czerwca tego roku dowiedział się o śmierci swoich najbliższych — zginęli wszyscy: żona, córka, dwaj bracia. On sam, ciężko ranny pod Stalingradem, ocalał

Fot. Autor

tylko dzięki pewnej anomalii fizycznej. Kiedy wysyłano rannych poza linię frontu na wołżańskim parostatku, Mikołaj Borisow, tuż przed wniesieniem jego noszy na pokład, zaniepokoił się o swoje buty. Podano mu jakieś. Ale on zaprotestował: po pierwsze — to nie jego, a po drugie — on nosi buty różne — na lewej nodze numer 42, na prawej — 43... Zdenerwowany komendant przeprawy rozkazał odstawić nosze na bok. Parostatek odpłynął. Niewiele kilometrów dalej został zbombardowany — nikt się nie uratował. Mikołaj Borisow zaś odjechał na tyły pociągiem sanitarnym, który zresztą też był bombardowany. Ale jednak ocalał.

Często jesteśmy skłonni sądzić, że los człowieka, to wszystko, co on w przeszłości przeżył, utożsamia z tymi przeżyciami jego charakter, wygląd, sposób bycia. I zepewne bywa tak niekiedy. Lecz przecież człowiek ma również cudowną zdolność odradzania się, ma niewyczerpane zasoby energii, młodzieńczego zapału. Mikołaj Borisow jest człowiekiem młodzieńczo energicznym, wesołym, chętnie żartuje i śmieje się. Jest bez końca oddany sprawie wychowania młodzieży, wychowania patriotycznego. Przekonanie, że kierunek pracy z młodzieżą, jaki przed laty obrał, wypływa zresztą nie tylko z przemyśleń, potwierdzają mu to codzienne fakty z życia wyjęte. Młodzież w jego szkole uczy się dobrze, szkoła chlubi się wieloma wybitnymi absolwentami, jest znana nie tylko w Moskwie i w Związku Radzieckim — przychodzą do niej listy z całego niemal świata. I prawie codziennie odwiedzają szkolne muzeum grupy ludzi — młodzież, dzieci, dorośli. Historię życia i śmierci Zoji i Szury — patronów szkoły — opowiadają im uczniowie z licznego grona przewodników po szkolnym muzeum. Mnie oprowadzała dziesięcioletnia dziewczynka Marina, nazwiskiem Biezsmiertnaja.

Nina Wasiliewna Krasilszczikowa pracuje w tej szkole już 42 lata. Ukończyła uniwersytet w 1930 roku. Chociaż jest rodowitą moskwiczanką, chlubi się tym i twierdzi, że żyć poza Moskwą by nie umiała — pierwszy rok pedagogicznej praktyki odbyła dalego stąd, w Ufie. Był to trudny rok, trudna praca. Uczyła w technikum budowlanym, uczniowie trafiali się różni: mała grupa Rosjan, Baszkirzy, Tatarzy — niektórzy ledwie rozumieli język rosyjski. Nina Wasiliewna twierdzi, że właśnie tam znalazła potwierdzenie tego, że prawidłowo, trafnie wybrała swą drogę życiową. Po roku wróciła do Moskwy i zaczęła pracę już w szkole nr 201. Została jej wierna do dziś. Przez wszystkie lata, w 1939, kiedy została wdową, krótki, dwuletni okres, kiedy szkoła została zamieniona na szpital i od 1943 — od wznowienia nauki — aż po dzień dzisiejszy. Całe życie ofiarnej pracy pedagogicznej i społecznej — obecnie Nina Krasilszczikowa jest deputowaną do Rady Najwyższej ZSRR.

Uczenie historii, mówienie o losach narodu, przypominanie jego walki i bohaterstwa w latach wojny, nie jest dla tych ludzi czymś mechanicznym, wyznaczonym przez szkolny program nauczania. Jest potrzebą, jest koniecznością, która rozumie się sama przez się. I stąd zapewne wynikają piękne rezultaty, które osiąga szkoła im. Zoji i Szury. Zwyczajna moskiewska szkoła.

MAREK WAWRZKIEWICZ

JAN HUSZCZA

OPOWIADANIE

Schowałem się pod jego łóżkiem. Leżąc na boku, mogłem ogarniać prawie cały pokój, przynajmniej od dołu, a domyślać się jeszcze więcej, gdyż drzwi były otwarte na korytarzyk, z korytarzyka wchodziło się do małej, ale schludnie utrzymanej łazienki.

Była jakaś czwarta po południu. Wrócił z pracy, zaopatrując się po drodze w żywność na kolację i zapewne na śniadanie. Wyjął paczuszki z ręcznej torby, umieścił je w lodówce, która znajdowała się we wnęce dość wysoko nad małą kuchenką gazową.

Potem stanął po środku pokoju w niezdecydowaniu. Głęboko westchnął, zdjął marynarkę, umieścił ją na poręczy krzesła, zdjął mokre buciki, nasunął na bose stopy papucie. Jeszcze raz westchnął i ułożył się, jak można było się domyśleć, na wznak na łóżku. Chciał się zdrzemnąć. Ale tylko zmieniał pozycje, co łóżko kwitowało chrzęstem sprężyn, rozpiętych w metalowej ramie. Drzemka się nie udawała. Widocznie pokaźny brunet wrócił z jakąś troską czy też przykrością. Pomyślałem sobie, że pokaźny brunet zastanawiał się, co by tu ze sobą począć.

„Ależ drań!" — powiedział. „Ależ drań!" — powtórzył z jeszcze większym przekonaniem. Uniósł ze stołu aparat telefoniczny, podłączony bardzo długim przewodem i poszedł z nim do łazienki. Zaintrygowało mnie to. O wiele wygodniej mógłby rozmawiać leżąc na łóżku, umieszczając aparat, powiedzmy, na piersi. Wypełzłem spod łóżka, podpełzłem do uchylonych drzwi, nie okiem jednak, ale okiem sprzężonym jak gdyby z domysłem — nie mogłem przecież za wiele ryzykować — zerknąłem, raczej zaś wyobraziłem sobie zerknięcie przez uchylone drzwi łazienki.

Pokaźny brunet usiadł na sedesie — tylko jednak po to, żeby ustawić aparat na złączonych kolanach. Ustawił aparat i zaczął wykręcać numer. Wróciłem do swojej poprzedniej sytuacji. Po chwili usłyszałem przymilny głos: „Towarzyszu prezesie, bardzo przepraszam, że to znowu ja... Proszę gorąco, żebyście jednak zmienili swoją decyzję..." Potem: „Przecież pracuję u was od siedmiu lat... Zresztą, to mi się prawnie należy..."

Pomyślałem sobie, że pokaźny brunet pomyślał: „Nawet, jeśli drań odmówi mojej prośbie, to będę miał chociaż tę satysfakcję, że go obraziłem, siedząc na sedesie i jednocześnie z nim rozmawiając..." Dopiero teraz zacząłem podziwiać tę nie przeczuwaną przeze mnie dodatkową, a może właśnie najważniejszą — psychologiczną przydatność telefonów. Jeśli dojdzie do jakichś tam, pomyślałem z żalem i odrazą, do jakichś tam videofonów, to cały ten wynalazek, umożliwiający rozmowę na odległość, straci na wartości: znowu trzeba będzie tak się zachowywać, jak podczas bezpośrednio prowadzonej rozmowy!

Nie mogłem zorientować się, o co w szczególności pokaźnemu brunetowi chodziło, w każdym bądź razie czuł się bardzo pokrzywdzony, daremnie chciał coś uzyskać od owego prezesa, usłyszałem głośne ciśnięcie słuchawki na widełki, następnie zaś słowa: „Ależ drań!" I jeszcze raz: „Ależ drań! To dochodźcie sądownie, mówi. Nim dojdę, dziesięć razy mnie wygryzie i to nie tylko u siebie!" Wracając do pokoju, znowu zawołał: „Ależ cholerny drań!". Uzupełnił poprzednią charakterystykę o przymiotnik głosem, w którym przekonanie o słuszności brzmiało nawet radośnie, gdyż na ogół radością napawają przekonania, których słuszności jesteśmy absolutnie pewni.

Znowu położył się na łóżku, usiłując zasnąć. Niestety, najsłuszniejsze nawet przekonania nie zawsze oznaczają wewnętrzny spokój. Tedy znowu pomyślałem sobie, że pokaźny brunet pomyślał, co by tu ze sobą począć?

Wstał, nałożył z powrotem marynarkę na kamizelkę, za to zdjął spodnie, przewiesił je przez poręcz krzesła, przedtem starannie składając nogawki wzdłuż ostro zaprasowanych kantów. Z szafy wyjął spódniczkę, włożył ją na kalesony, opięte pod kolanami podwiązkami, utrzymującymi skarpety. Transwestyta? — pomyślałem z niesmakiem. On zaś na środkowej półce z powieściami odszukał pudełeczko, wyjął z niego jakiś order (później dopiero stwierdziłem, że był to brązowy krzyż zasługi), przypiął go powoli i z namaszczeniem do klapy marynarki. Widać, że order otrzymał niedawno, bardzo go cenił, gdyż przez jakiś czas przyglądał się w ściennym lustrze sobie z orderem, parę razy zmieniał jego miejsce w klapie.

Spośród płyt, leżących na pudle aparatu radiowego, wybrał właściwą i umieścił ją na talerzu adapteru. Uruchomił adapter, nacisnął odpowiedni klawisz radia, rozległy się dźwięki i mnie znanego marsza wojskowego „Most na rzece Kwai". Dźwięki buchnęły gwałtownie jak czasem woda po odkręceniu źle funkcjonującego kranu, szybko ściszył gałką aparatu ich siłę. Podobało mi się to ściszenie. Dbał o to, by nie przeszkadzać sąsiadom za nazbyt akustycznymi ścianami.

Stanął przed lustrem w wyprężonej postawie wojskowej. Wzniesioną prawą ręką co chwila salutował, ale na sposób wyższych dowódców czyli trzymając szeroko do przodu rozwartą dłoń, nie przykładając jej szczelniej do wyimaginowanej czapki generalskiej. Dopiero teraz wszystko zaczęło mi się z łatwością kojarzyć: stał na wyimaginowanej trybunie i przyjmował wyimaginowaną defiladę, a musiała to być defilada jakichś oddziałów angielskich, gdyż spódniczka była z materiału w szkocką kratę, na co wcześniej nie zwróciłem uwagi, choć wiedziałem, że „Most na rzece Kwai" należy do repertuaru wojskowych orkiestr angielskich, ściślej zaś: jest szkockiego pochodzenia. Mam cię, bratku! Więc marzenia o roli dowódcy i zastępcza ich realizacja. Skąd się to u niego wzięło, to już inna sprawa. Mój pokaźny brunet mógł mieć jakieś czterdzieści lat i tym samym nie brał jakiegokolwiek udziału w wojnie.

Dlaczego właśnie teraz — zastanawiałem się — była mu potrzebna defilada? Prawdopodobnie rozmowa z prezesem, choć prowadzona w okolicznościach dla tamtego obraźliwych — można powiedzieć, że a'la Suworow, który siedząc na nocniku przyjmował delegację Włochów w okresie zwycięskiego pochodu za Alpami — owa rozmowa z prezesem domagała się dodatkowej satysfakcji, dodatkowego wywyższenia i utwierdzenia się, całkowitego unicestwienia tamtego.

Ale skończyła się defilada, podczas której „Most na rzece Kwai" grano trzy razy od początku. Pokaźny brunet pożegnał innych wyższych oficerów, dostojnie schodzących z trybuny, podając każdemu z nich rękę i za każdym razem po podaniu ręki salutując. Było tych oficerów siedmiu, a może nawet i dziewięciu, dokładnie nie zdążyłem policzyć.

Pokaźny brunet zdjął marynarkę, narzucił ją na wiszące spodnie, znowu położył się na łóżku, żeby nieco odpocząć. Nic w tym dziwnego. Defilada trwała przecież dość długo, w dodatku mogła się odbywać w jakimś gorącym kraju, choć u nas był właśnie przenikliwy i dżdżysty dzień z końca sierpnia.

Cóż dalej?

Jednak te nasze stosunki, nie ma co! I znowu bowiem nie udało się osiągnąć drzemki. Po jakimś więc czasie pokaźny brunet zabrał się do przedwczesnej kolacji. Zupełnie słusznie. Jedzenie uspokaja, czyni człowieka ociężałym, mniej skłonnym do wzmożonych napięć.

Pokaźny brunet postawił na płycie czajnik, by zagotować wodę i zaparzyć herbatę. Długo wahał się przed otwartą lodówką, czy ugotować jajka, czy poprzestać na kiełbasie. W końcu jajka odłożył z powrotem, zostawił kiełbasę. Znalazło się na stole masło, chleb, rumiane jabłko. Jadł dość dziwnie: zaczął od jabłka, potem do jednej ręki chwycił pajdę posmarowanego margaryną chleba, do drugiej średnich rozmiarów kółko kiełbasy, zębami rozgryzał związane nicią jej końce — łakomie ćpał, chodząc po pokoju. Mniejsza o chodzenie po pokoju w czasie posiłku, ale to ćpanie, ćpanie! To pochłanianie kółka jakby sportowe, na czas! A przecież właśnie on, pokaźny brunet, jakieś dwa miesiące temu napisał list do poradnika towarzyskiego w pewnym tygodniku z zapytaniem, czy ocieranie ust serwetką w czasie jedzenia lub po — należy zaczynać od lewego kącika, czy też od prawego? Inną rzecz, że kiełbasa musiała być apetyczna, szkoda było czasu na krajanie jej w plasterki, jej zapach doszedł na moment do moich nozdrzy. Jałowcowa! Lubię jałowce, ciemnozielone albo jeszcze częściej siwiejące, co wyglądają jak stożkowate kopice siana, jeśli znajdują się na śródgórskich łąkach, lubię jałowcową kiełbasę. Muszę też dodać, że wódkę jałowcową też lubię.

Chodził pokaźny brunet po pokoju, kiełbasy ubywało i ubywało, w ręku brązowiał już ledwie kawałeczek, nawet nie przypominający wycinka koła. Napił się herbaty zupełnie oddzielnie, po zjedzeniu kiełbasy i chleba — usiadł wreszcie na krześle i odetchnął: „Yhm...yhm..." Pomyślałem sobie, że nareszcie rozpełzło się w nim napięcie, poczuł się całkowicie odprężony, skutecznie oddalony od nieporozumień z owym drańskim prezesem, który najpewniej lubi nadużywać swojego stanowiska.

Zaczął wreszcie brunet przeglądać stojące na półkach książki, których zresztą nie było wiele. Teraz trzeba czegoś dla ducha, ucieszyłem się! Zupełnie słusznie, naturalna to kolej rzeczy. Brał do rąk powieści kryminalne i inne, w każdej odwracał po cztery — pięć kartek i, zniechęcony, z powrotem wciskał je w rzędy. Odszedł wreszcie od tych trzech półek, stanął przy oknie, za którym miało się zmierzchać, patrzył w milczeniu na szczytową ślepą ścianę naprzeciwległego domu. Okazało się, że jego duch chciał poezji, nie zaś prozy. Przymknął oczy i zaczął z przejęciem recytować:

ptaki dmuchane z powietrza
dokąd myślą skoro nie lecą

myślą tylko do własnego pierza
sęki rosną tu po ich myśli

Przerwał, potem zaczął od początku, by lepiej wczuć się w słowa, wsłuchać w brzmienie własnego głosu:

ptaki dmuchane z powietrza
dokąd myślą skoro nie lecą

myślą tylko do własnego pierza
sęki rosną tu po ich myśli

lecą tylko od dziobów do nóg
wszystko jest tu krótko pomyślane

tylko drzewo długo i okrągło
w ptasiej klatce wewnątrz siebie lata

Po tych słowach dotknął palcem lewej ręki powieki, jakby chciał z niej strzepnąć łzę. Niestety, łzy nie było. Więc znowu:

tylko drzewo długo i okrągło
w ptasiej klatce wewnątrz siebie lata

wiekulistnej nagle skórze drzewnej
pustych ptaków jajorodna gęstość

Przy „jajorodnej gęstości" zaśmiał się wesoło, ale przez mgnienie, przeważyło bowiem ciche wzruszenie, więc powtórzył wcześniejszy dwuwiersz:

tylko drzewo długo i okrągło
w ptasiej klatce wewnątrz siebie lata*)

Lubił widocznie wszystko powtarzać, podobnie było przecież z marszem, podobnie z określaniem moralnej postawy prezesa, podobnie z paroma niejasnymi dla mnie gestami, które tu pominąłem — otóż recytacja wiersza wprowadziła bruneta w marzycielski, liryczny nastrój. Znowu stanął przed lustrem. Myślałem, że nareszcie pokaże sam sobie, gwoli autokpiny, język. Niejeden z nas, gdy znajdzie się sam przed lustrem, lubi to czynić. O, nie! Pokaźny brunet najpierw spróbował wyciskać wągr w okolicy podbródka, następnie, a to już nie było w żadnym razie czymś oryginalnym, zaczął na przemian gmerać paluchem w pokaźnych dziurkach gulowatego nosa, który cokolwiek nie pasował do twarzy o dość regularnych rysach.

Pomyślałem sobie, że pokaźny brunet pomyślał: „Co zrobić, aby nie rozproszyć nastroju rozmarzenia, poetyckości, którego udzielił mu wiersz?"

Trafnie pomyślałem. Pokaźny brunet podszedł do telefonu. Powtarzając półgłosem: „jajorodna gęstość... jajorodna gęstość" — wykręcił numer telefonu.

— Filomeno, to ty?

— Ja... doszedł i do mnie głos ze słuchawki, słyszalny z odległości jako chrobot.

— A to ja...

— Naprawdę?

— Słowo daję! — Oboje śmiali się do słuchawek. — Co? Od razu poznałaś? To się cieszę...

Tym razem i videotelefon nie krępowałby pokaźnego bruneta. Rozmawiał stojąc, lekko pochylony, przez cały czas mile się uśmiechał i nawet z odległości zerkał do lustra, jakby pragnąc sprawdzić, czy dobrze to robi.

— Słuchaj, Filomeno. Deszcz przestał padać. Czy nie wybralibyśmy się do kina?... Świetnie, Filomeno! Będę na ciebie czekać z biletami przed wejściem... Tak, ma się rozumieć, że na wszelki wypadek wyjdę wcześniej.

Był zadowolony. Rozkraczył się pośrodku pokoju, spoglądał w dół na ten swój rozkrok, z lubością powtarzał: „jajorodna gęstość... jajorodna gęstość..."

Wybrać się z nimi do kina? Nic. Bałem się zakatarzonych ludzi, w dodatku wydawało mi się, że ten film, którego tytuł wymieniono w rozmowie, chyba oglądałem. Ckliwy melodramat! Upatrzywszy odpowiednią chwilę, gdy pokaźny brunet guzdrał się w łazience, po cichu i chyłkiem wykradłem się z jego mieszkania.

Wracając do siebie, zacząłem przypominać częste rozmowy z zaprzyjaźnionym sprzedawcą gazet, tygodników i środków antykoncepcyjnych, panem Biskupściem, który kiedyś był nauczycielem greki, ale musiał się przekwalifikować. Tak więc — przypominając uwagi pana Biskupścia, człowieka znającego życie — mogłem na temat pokaźnego bruneta powiedzieć: sprawa w tym wypadku nie wygląda źle. Rzecz jasna, że ludzie inaczej zachowują się na oczach innych, starając się wypaść lepiej lub czegoś z siebie nie ujawniając, inaczej, gdy są sami, wolni od jakichkolwiek nacisków z zewnątrz. Gorzej, gdy coraz liczniejsi — to też mówił pan Biskupść — wszędzie zachowują się jednako: nie tak u siebie jak na ulicy czy przy pracy, ale tak na ulicy czy przy pracy jak u siebie. O nich przeważnie mówimy lub myślimy: chamy! Kultura bycia wymaga wielkiego wysiłku. Wymaga wysiłku przynajmniej do czasu, gdy pewne zachowania staną się dobrym nawykiem. Podobało mi się, że pokaźny brunet zachowywał się spokojnie nawet podczas defilady, która raczej musi być hałaśliwa, ściszył błyskawicznie dźwięki marsza, by nie przeszkadzać sąsiadom. Jak na generała, choćby w imaginacji, to przejaw pięknej powściągliwości. Zmartwił mnie jednocześnie pokaźny brunet właśnie jako generał. Jeśli to była realizacja zastępcza, to pal go licho! Tak zapewne orzekłby i pan Biskupść. Gorzej, jeśli to oznaczało od dłuższego czasu ustępowanie, wycofywanie się! Mimo, iż fizycznie brunet prezentował się jako osobnik skłonny nawet do niejakiej agresywności. Potulne ustępowanie różnych ludzi w różnych sytuacjach, stopniowe rezygnowanie ze swoich praw, bezradność, staje się zjawiskiem, przybierającym coraz większe rozmiary.

Gdy tak właśnie medytowałem, może nawet gestykulując, gdyż czułem się, jakbym toczył dialog z panem Biskupściem, nagle usłyszałem matowy, sympatyczny głos Filomeny. Stała u wejścia do kina. Pod neonem, w kolorowym płaszczu przeciwdeszczowym, na tle pełgających po mokrym chodniku odblasków, wyglądała jak element reklamowy.

— Ładnie to tak?! Miałeś czekać na mnie z biletami...

— Och, przepraszam cię najmocniej, Filomeno! Ale ciężki dziś miałem dzień, ponadto spędziłem kilka godzin w nader niewygodnej pozycji...

Okazało się, że po bilety nie było kolejki. Wiadomo, w lipcu i sierpniu miastom znacznie ubywa mieszkańców.

*) Cytaty z wiersza Tymoteusza Karpowicza: „Drzewo, które obsiadły ptaki".

II NAGRODA NA VIII FESTIWALU POEZJI

LESZEK SZARUGA

Przesłuchanie albo rozmowa z zegarem

Dzisiaj
o siódmej rano
przesłuchałem
budzik: utykał
na jedną wskazówkę
w czasie
teraźniejszym. Odmawiał
godzinki, odmawiał
odpowiedzi: spytany
o czas stanął
w miejscu zakazanym. Nagle
wybił mi godzinę. Jeszcze
teraz
pluje krwią i nie mogę
złapać
oddechu.

ŚCIŚLE TAJNE (2)

W szkole wywiadu

W poprzednim numerze naszego pisma zamieściliśmy tekst wywiadu, jaki przeprowadziła redakcja jednego z pism amerykańskich z byłym pracownikiem Amerykańskiej Agencji do Spraw Bezpieczeństwa (AAS). Dziś zamieszczamy dalszy ciąg tego wywiadu.

* * *

— Jak znalazł się pan w AAS?

— Uczyłem się w college'u, ale nudziło mnie to. Chciałem robić coś innego. Pochodzę przecież ze Środkowego Zachodu, a tam jeszcze wszyscy wierzą reklamie, nawołującej „do wstąpienia do wojska, żeby zobaczyć szeroki świat". Poszedłem więc do lotnictwa, później próbowałem się dostać na kursy języków obcych, ale nie było wolnych miejsc. Zainteresowało się mną trzech facetów, którzy, jak się później okazało, byli współpracownikami AAS. Porozmawiali ze mną i jeszcze z trzema chłopcami, a następnie spytali, czy nie mielibyśmy chęci popracować w wywiadzie. Poddano nas serii testów na badanie uzdolnień, po czym wysłuchaliśmy kilku pogadanek, na których ustalono naszą polityczną i emocjonalną odporność. Później, jak mnie już przyjęto, trafiłem do bazy lotniczej w San-Angelo, w Stanie Teksas. Obecnie została ona całkowicie przekształcona w szkołę wywiadu AAS. Głównym celem szkolenia w bazie było utwierdzenie nas w przekonaniu, że jesteśmy „śmietanką" armii.

— Czego uczył się pan w szkole wywiadu?

— Z początku podstawowych metod analizy, terminologii służby wywiadowczej jej struktury. Poznaliśmy elementarne metody odszyfrowywania kodów i nasłuchu informacji radiowej. Pewną ilość słuchaczy odsiano: w ich życiorysie wykryto podejrzane fakty. Przez cały ten czas stykaliśmy się wyłącznie z informacją, oznaczoną hasłem: „poufne", ale później dopuszczano nas do materiałów ściśle tajnych.

Teraz nie bardzo się tym szczycę, ale muszę powiedzieć, że naukę skończyłem z pierwszą lokatą w klasie. W nagrodę dano mi prawo wyboru miejsca służby w dowolnym rejonie świata. Wybrałem Stambuł. Wydał mi się miastem dalekim i egzotycznym. Jednakże przed wyjazdem zostałem jeszcze skierowany do wojskowej szkoły języków obcych w Monterry, a następnie znalazłem się w głównej kwaterze AAS w Fort-Meed, gdzie przez dwa tygodnie zapoznawałem się zaocznie ze Stambułem, jak również z ogólną strukturą służby wywiadu w Europie.

— Kiedy przyleciał pan do Stambułu?

— W styczniu 1967 roku.

— Co pan tam robił?

— Byłem jednym z tych, którzy prowadzili badania analityczne. W naszym pododdziale pracowało 25 radiooperatorów, którzy wyszukiwali dla mnie w eterze radiowe sygnały Morse'a oraz 5 operatorów, którzy zapisywali na taśmach magnetycznych inne jeszcze sygnały i głosy ludzi. Ja analizowałem zapisy i konfrontowałem je z materiałem wywiadowczym innych stacji podsłuchu radiowego AAS w Europie.

— Gdzie znajdują się inne europejskie stacje nasłuchu radiowego?

— Największe obok tej, w której pracowałem pod Stambułem, są rozlokowane w Zachodnich Niemczech — w Berlinhoff i Darmstadt, w Anglii — w Checksenge, we Włoszech — w Brindisi, a ponadto w Trabzon, w Turcji i na Krecie. Niektóre posiadają anteny koliste o rozmiarach kilku pól do gry w rugby, z kątem łowienia sygnałów równym 360 stopni. Są to anteny niezwykle czułe, przejmują setki sygnałów jednocześnie, nawet ze słabych stacji o małym zasięgu nadawczym, z odległości tysięcy mil.

— Do czego służy ten cały aparat informacji?

— Jak już powiedziałem, kontroluje on, to znaczy przechwytuje informacje radiowe wszystkich krajów, odszyfrowuje je i analizuje.

— Ilu pracowników zatrudnia AAS w Stambule i w innych stacjach w Europie?

— W naszych operacjach brało udział około trzech tysięcy ludzi. Trudno nawet przypuszczać, ilu ludzi pracuje na innych europejskich stacjach AAS.

Jakiego typu informacje uważa się za najbardziej ważne?

— Istnieje tutaj swoista klasyfikacja. W pewnych okolicznościach aktywność obiektu, znajdującego się na podsłuchu, tak wzrasta i nabiera wówczas takiej wagi, że wymaga wysyłania specjalnych komunikatów. Rozsyła się je po całym świecie, za pośrednictwem unikalnego systemu komunikacji, do wiadomości innych amerykańskich służb wywiadowczych lub dyplomatycznych. Może tu bowiem chodzić o informację wywiadowczą tak niezwykle ważną, że powinna natychmiast trafić do prezydenta Stanów Zjednoczonych. Kiedy napływają tego rodzaju informacje jeden specjalista-analityk nie jest w stanie ich opracować. Zawierają ogromną masę materiału.

— Czy wysyłał pan kiedykolwiek takie komunikaty?

— Tak, w 1967 roku, w czasie wojny na Bliskim Wschodzie. Wchodziłem wówczas w skład grupy specjalistów-analityków, którzy prognozowali, że wojna jest nieunikniona, już mniej więcej, na dwa miesiące przed jej wybuchem. O ile sobie przypominam, nasze pierwsze doniesienia w tej sprawie wysyłaliśmy już w kwietniu. My, oraz nasza stacja na Krecie, już w lutym otrzymaliśmy dane, że Izrael zrobił duże zapasy broni, koncentruje wojska i sprzęt, wzmaga gotowość bojową i rozszerza skalę uderzenia na terytorium arabskie. Czyli, ogólnie rzecz biorąc, robi wszystko, co robi kraj, przygotowujący się do wojny.

— Czy my stale kontrolujemy kanały łączności i rozmowy naszych sojuszników?

— Oczywiście.

— I czego się dowiadujemy?

— Bardzo wielu rzeczy. Na przykład wiemy, że w miejscowości Dimon, na pustyni, Izraelczycy pracują nad skonstruowaniem broni jądrowej. Któregoś dnia ambasador amerykański w Izraelu odwiedził ten rejon. Dla zamaskowania, Izraelczycy określili ten obiekt jako „fabrykę włókienniczą", kiedy nasz ambasador znalazł się tam, podarowano mu... garnitur.

— Czy sprawy, o których pan mówi, są tajne?

— Nieomal wszystkie.

— Kto o tym decydował?

— Ja. Robią to wszyscy specjaliści z zakresu analizy informacji AAS. Niższy stopień tajności, jeśli to można tak określić, oznacza się hasłem „poufne". Cały materiał, nie oznaczony jakimkolwiek innym hasłem, jest automatycznie poufny. Znaczną część materiałów, które opracowywałem, oznaczałem hasłem „tajne", lub „ściśle tajne". Jednakże, po pewnym czasie, przyszło mi do głowy, że utajniamy materiały nie tylko przed przeciwnikiem. Wygląda na to, że w niemniejszym stopniu jesteśmy zainteresowani w ukrywaniu ważniejszych faktów również przed narodem amerykańskim. Do diabła, stawiałem znak „ściśle tajne" nawet na prognozach pogody, które przechwytywaliśmy z radzieckich stacji radiowych. Przypominam sobie, jak w szkole w San-Angelo jeden z instruktorów pouczał nas przez całą lekcję o konieczności zachowywania ścisłej tajemnicy, ponieważ naród amerykański, dowiedziawszy się wielu rzeczy, mógłby wpaść w panikę. Użył dosłownie tego zwrotu.

— W jaki sposób utrzymywał pan kontakty z sojusznikami w zakresie wywiadu?

— Mówiłem już, że nasi sojusznicy są podzieleni na kilka kategorii i wymiana informacji odbywa się według ustalonej klasyfikacji. Na przykład kraje trzeciej kategorii nie otrzymują od nas absolutnie żadnej informacji, natomiast my dysponujemy całą informacją, którą oni zdobywają. W szczególności nasze umowy z sojusznikami, bez względu na to, do jakiej oni kategorii należą, są ulicą z ruchem jednostronnym...

— Czy oni wiedzą o tym?

— Z pewnością. Wiem także, że my nieustannie kontrolujemy kanały dyplomatyczne. W Anglii, na przykład, nasza stacja w Checksenge kontroluje wszystkie rządowe kanały łączności. I tutaj znów decyduje o wszystkim technika. Nasi sojusznicy nie mogą zabezpieczyć swojej łączności przed podsłuchem, nawet gdyby chcieli to zrobić. Wszyscy używają sprzętu, który my im dajemy.

(cdn)

Oprac. J. CZECH

Czary brazylijskiego FUTBOLU!

Nie jest tak źle, jak jeszcze niedawno było, kiedy we wspaniałej reprezentacji futbolowej jednego z wielkich państw południowoamerykańskich wśród jedenastu zawodników znalazło się aż jedenastu analfabetów. Czarodziejskie zaklęcia odgrywały wtedy wielką rolę w brazylijskim futbolu, najlepszym wówczas na świecie. Ekspertem w tych sprawach nadal jest Rafael Dellilo, były szewc, a z powołania kapłan kultu Umbanda, autor książki pt. „Czary w futbolu", która stanie się niewątpliwie bestsellerem. Oczywiście w Brazylii. „Dzieło" dopiero się ukaże, ale prasa brazylijska już publikuje ciekawe fragmenty, które i u nas mogą zainteresować. Nie tyle z powodu futbolu, co przede wszystkim dlatego, że dowiadujemy się szczegółów o stanie kulturowym faszyzującej Brazylii.

Rafael Dellilo był powiernikiem działaczy, trenerów i zawodników wielkich klubów w Sao Paulo — centrum przemysłowym Brazylii, w Santos — centrum handlowym tego kraju i w innych wielkich miastach. Do niego zwracano się, gdy chodziło o to, by przeciwdziałać czarom i magicznym machinacjom przeciwników, on to stosował kontrczary dla ratowania swoich podopiecznych, dla zapewnienia im zwycięstwa na boisku. Brazylia jest najludniejszym ze wszystkich katolickich krajów świata. Ale niemała część wiernych pozostaje pod wpływem kultów VOODOO, uprawianych gorliwie i rozpowszechnianych przez potomków afrykańskich niewolników.

Rafael Dellilo opowiada, jak, gdzie i kiedy zetknął się z ludźmi znaczącymi coś w piłce nożnej — w kraju, gdzie żyjącemu i aktywnemu jeszcze piłkarzowi wzniesiono pomniki. Pewnego dnia, opowiada autor „Czarów w futbolu", pomogłem trenerowi drużyny Palmeiras-Sao Paulo, zagrożonemu utratą stanowiska i dobrej sławy, ponieważ jego drużyna od pewnego czasu rzadko kiedy zwyciężała. Dellilo znalazł na to właściwy sposób. Poradził on trenerowi, by dresy zawodników pokropił święconą wodą i zapalił świece na ołtarzu kościoła położonego niedaleko stadionu. Oto przykład, że kult Umbanda, jak i pozostałe kulty, wywodzące się z Voodoo, posługuje się również obrzędami kościelnymi i przenika do brazylijskiego katolicyzmu.

Trener poszedł za radą czarodzieja. Następnego dnia, opowiada Dellilo Vava, bombardier jedenastki Palmeiras-Sao Paulo, strzelił w meczu z Portuguesa-Santos aż trzy bramki, zapewniając swojej drużynie nieoczekiwane zwycięstwo.

Kiedy drużyna Corinthians doznawała porażki po porażce w rozgrywkach ligowych, Dellilo polecił trenerowi, by poszukał „czegoś" pod narożnikami — z wręcz przerażającym rezultatem, znalazł bowiem nóż pod każdą chorągiewką, czyli razem cztery noże, co stanowi najgroźniejszy z czarów, działających na zgubę przeciwnika. Wśród zwolenników Corinthians krążyła nawet pogłoska, że pod murawą stadionu tego klubu leży ośla czaszka, w bezksiężycową noc zakopana przez przeciwników. A trzeba widzieć, że zakopana ośla czaszka jest niezawodnym środkiem czarodziejsko-magicznej agresji zwolenników kultu Umbanda.

Dellilo oświadcza — chyba dla fasonu — że jako doradca futbolistów nie pobierał honorarium, lecz działał z czystej miłości do piłki nożnej. Widać tu wpływ przeprowadzającego wywiad dziennikarza, który skłania słynnego już „autora" do wypowiedzi — rehabilitującej Brazylię, czyli jej rządzącą warstwę, która stara się, jak może, o pozory, że podnosi ogólną oświatę i walczy z zacofaniem. Dlatego też Dellilo mówi jakoby o przeszłości i stwierdza, że to, co było, już nie jest, a co najmniej zanika. Albowiem:

„Kiedyś... większość zawodników wierzyła, że tylko czarodziejskie zaklęcia mogą zapewnić powodzenie na boisku. Dziś jest inaczej. Niektórzy zawodnicy studiują na uniwersytetach, wielu zdało maturę..."

Z tego powodu Dellilo przestawił się. Dziś udziela swojej magicznej pomocy przede wszystkim zatroskanym ojcom rodziny. Działacze, trenerzy i zawodnicy klubów futbolowych nagle i niespodziewanie przestali korzystać z czarów, podczas gdy miliony Brazylijczyków nadal uprawiają kult Umbanda i inne kulty Voodoo, niekiedy wręcz wypierające obrzędy kościelne.

LB

KSIĄŻKA

SPÓR o kryteria

Gdy równo rok temu („Odgłosy" nr 15 z 9.4. 1972) miałem okazję pisać o antologii wierszy białoruskich w opracowaniu Jana Huszczy, nawet nie domyślałem się, że w tak krótkim czasie dane mi będzie wrócić do tematu — tym razem z odwrotnej pozycji, a mianowicie próby oceny dorobku białoruskich tłumaczy poezji polskiej, ściślej, idzie o tom przekładów — jak w podtytule określono — poezji czerwonej Łodzi, a całość zatytułowana: **„Miasto milionowe i my". *)**

O przekładach literatury obcej można dziś pisać — i po trochu czyni się to — całe rozprawy naukowe. Jednakże czytelnik dalej stojący od teorii i praktyki przekładu nie zawsze zdaje sobie sprawę z ogromu bariery językowo-kulturowej, jaką ma do pokonania tłumacz. Dotyczy to zwłaszcza języków pokrewnych, które najczęściej swym pozornym podobieństwem stwarzają nie lada psikusy przy adaptacji utworu na inny grunt.

Fakt ten — oczywiście w pewnym tylko przybliżeniu — może przyczynić się do wyrobienia poglądu, jakiego trudu dokonali białoruscy sympatycy polskiej poezji. Ba, niektóre owoce doboru brzmią — przynajmniej na gust znawców sztuki poetyckiej — lepiej w przekładzie na język białoruski (!). To wszakże nie może być przedmiotem zarzutu pod adresem tłumaczy... Zarzut wyboru nie dotyczy — co zrozumiałe — autora tomiku, wybitnego poety białoruskiego, **Janki Bryla** oraz autora wstępu — **Maksyma Tanka.** Obaj dobrze są znani w naszym kraju, a zwłaszcza w Łodzi, jako wypróbowani przyjaciele Polski.

Wertując z najwyższym zaciekawieniem rzeczoną antologię, która na dobrą sprawę jest prawdziwym wydarzeniem kulturalnym, a mogłaby stać się wzorem do naśladowania — raz po raz zastanawiałem się nad obranymi kryteriami wyboru wierszy polskich.

Sądzę, iż nieco na wyrost wypadnie potraktować opinię, jakoby „zbiór wierszy... reprezentował twórczość różnych pokoleń polskich poetów, jacy urodzili się lub wychowali" itd. Tu wszakże daleki byłbym, aby obciążać autorów antologi grzechami nie popełnionymi. Dokonali po prostu redakcji na podstawie materiału dostarczonego im przez przewodników, tudzież informatorów polskich, i to bez wątpienia środowiskowych, ha, cóż, czerwonej Łodzi. Reprezentatywność polskich pokoleń poetów w tym zbiorze, nad wyraz starannie i estetycznie wydanym — nie wszędzie czerwieni się szlachetną barwą. Tu i ówdzie, niestety, jest ona zaledwie różem, a czasami — białą plamą. Smutną refleksję musi budzić ów efekt, na którym znalazły się mizerne gałganki obok prawdziwych pereł. Całe zaś obszary — nie wątpię — świadoma i wytrawna ręka przewodnika ominęła, opuszczając, hm, wstydliwe oczęta, to znów udając skończonego daltonistę. Monopolizacja — tak szkodliwa w innych dziedzinach — tu objęła obszary opinii środowiska literackiego, urządzając sobie coś na podobieństwo wygonu, na którym wyładowano porcję kaprysów rozpaćkanej dewotki, w podziale na role — ten w prysiudach, a ów wierzgając z wykierowanym w siebie „perskim okiem"... Ale dość tego, bo sprawa jest o wiele poważniejsza, choć groteska wyłazi tu raz przysłowiowym szydłem z worka, to znów staje się kropelką dziegciu w beczce miodu.

Nie sposób w krótkim artykule zanalizować wszystkie aspekty zbiorku. Tym bardziej jest to niemożliwe w odniesieniu do wszystkich nazwisk i proporcji umieszczonych wierszy. Stąd słów kilka o najbardziej rzucających się w oczy kwestiach, a pozostających w związku z antologią.

Wydaje się, iż nie może być wątpliwości co do reprezentacji poezji, m. in. **Jana Huszczy** (16 wierszy). Dobrze, że do zbioru trafili poeci — **Mieczysław M. Szargan** (4 wiersze), **Marek Wawrzkiewicz** (2 wiersze), **Jan Koprowski** (6 wierszy), z młodszych poetów — **Dorota Chróścielewska, Rymwit Maciej Kononowicz, Andrzej Biskupski** (2 wiersze), **Mirosław Kuźniak.** Ale już tu dziwić musi **Adam Puto** reprezentowany aż czterema wierszami. Objawy zdziwienia towarzyszyć będą dalej. Oto tacy poeci, jak **Mieczysław Jastrun, Wanda Karczewska,** są reprezentowani zaledwie po jednym wierszu. Identycznie wypadli **Witold Wandurski,** autor **„Sadzy i złota"** — poeta bez wątpienia rewolucyjny, i **Jerzy Waleńczyk,** dla którego Łódź jest więcej niż obsesją twórczą. A dalej, już tylko pustynia.

Sądzę, iż można było w znacznym stopniu wzbogacić literacki obraz miasta, wyzyskując do tego antologię poezji Łodzi opracowaną przez Ajnenkela „Czerwona lutnia". Ale na Boga! Gdyby informatorom wyleciał ów drobiazg z pamięci, to tak samym wstydem nie wypełnia wytworzonego pustkowia brak nazwisk, bagatela! — **Juliana Przybosia, Jarosława Iwaszkiewicza.**

A dalej, choćby Mieczysława Kucnera — laureata nagrody Srebrnego Pierścienia w konkursie Czerwonej Róży; Jarosława Marka Rymkiewicza autora „Konwencji", „Człowieka z głową jastrzębia", laureata nagrody „Nowej Kultury" za najwybitniejszą książkę roku.

A które to miasto w Polsce, jeżeli nie Łódź, winno się szczycić nazwiskami **Jerzego Wawrzaka, Konrada Frejdlicha, Józefa Henryka Wiśniewskiego, Jerzego Wilmańskiego, Zbigniewa Kosińskiego.** Zabrakło wreszcie **Bronisława Wieczorkowskiego,** samorodnego autora fascynującego tomu wierszy robotniczych „Hebel i złoto"?

Owe niepokoje niech więc przemówią refleksją optymizmu na przyszłość, za rozwagą, na korzyść faktów, które ponoć są uparte.

Wreszcie i przypisy — niestety niechlujnie zestawione — wymagałyby znacznych korekt oraz uzupełnień, m. in. o tytuły książek.

***) „Gorad miljonny i my". Paezija czyrwonaj Łodzi. Pereklad z polskaj mowy. Wydawectwa „Mastackaja Literatura" 1972. Wybrał i opracował Janka Bryl. Wstępem opatrzył Maksym Tank.**

WITOLD SŁOTWIŃSKI

FILM

SOWIZDRZAŁ NA PRERII

„MAŁY, WIELKI CZŁOWIEK" Artura Penna pojawia się na ekranach poprzedzony premierami takich westernów, jak **„Jesień Cheyennów"** J. Forda i **„Błękitny żołnierz"** R. Nelsona, toteż nie będzie filmowi temu towarzyszyć zaskoczenie, które w przeciwnym wypadku mogłby wywołać. Oba wspomniane filmy bowiem reprezentowały nowy kierunek westernowych poszukiwań — były rekonstrukcją zdarzeń autentycznych, stanowiły gorzki i oskarżycielski rozrachunek z faktami, które miały swe miejsce w historii Stanów Zjednoczonych. Western, wychodząc poza tradycyjne konwencje gatunku, stał się opowieścią historyczną.

Artur Penn, autor znanej u nas **„Cudotwórczyni"** i prawie legendarnego filmu **„Bonnie i Clyde"**, ostatnim swym filmem podejmuje tę nową funkcję westernu, nadaje mu jednak odmienny charakter. **„Mały, wielki człowiek"** nie jest opowieścią stricte historyczną, sam autor nadał jej określenie opowieści sowizdrzalskiej. W istocie z jej to tradycji wywodzi się główny bohater filmu Penna.

Przydomek małego, wielkiego człowieka otrzymał od Indian Jack Crabb — narrator w tym filmie, grany znakomicie przez **Dustina Hoffmana.** Jack schwytany jako chłopiec przez Cheyennów, został przez nich wychowany, stał się wojownikiem. W pierwszej swej wielkiej potyczce z białymi zostaje z kolei przez nich pojmany. Rozpoczyna się wielka wędrówka Jacka przez życie, które na przemian dzielić będzie z białymi i czerwonymi. Jack, tak jak to właśnie w sowizdrzalskiej opowieści bywa, przeżyje wiele przygód. Uczestniczyć w zdarzeniach będzie bez względu na to, czy naprawdę widzi ich racje, czy ma na nie ochotę, czy nie. Spryt i szczęście pomogą mu przetrwać, zdrowy rozsądek, częściej niż przekonanie i sumienie, kieruje jego czynami. Jack przy tym wszystkim nigdy nie będzie łajdakiem — film zdaje się mówić, iż dzięki temu, że poczucie dobra wpoili mu Indianie. Biali w filmie Penna niosą ze sobą zło, podłość i głupotę. A warto pamiętać, że owi biali na czele z szaleńczym generałem Custerem i rewolwerowcem Hickokiem — to postacie autentyczne, opisane będź w podręcznikach historii, bądź w legendzie ludowej. Penn jest wobec nich bezlitosny, choć głównie posługuje się satyrą. Obala mity zapisane, zdawało się na trwałe, w historii i właśnie mitologii Dzikiego Zachodu. Nie oszczędził Custera, a legendarną bitwę nad rzeką Little Big Horn pokazał jako klęskę, będącą wynikiem bezprzykładnej głupoty jej dowódcy.

Demitologizacji postaci i faktów historycznych towarzyszy demitologizacja westernu i jego bohaterów w ogóle. Kpi z nich Pann w żywe oczy wówczas, gdy pokazuje białych, dyskretniejszy jest wtedy, gdy zwraca się ku Indianom. Idylliczne wizerunki Indian są również pewną parodią westernu — znajduje jednak dla nich przeciwwagę w nieoczekiwanie wprowadzanych obrazach prawdziwego tragizmu ich losów. Najazd białych pod wodzą Custera na wioskę indiańską, okrutne obrazy rzezi dokonanej na bezbronnych jej mieszkańcach, zakłóca tę obrazową idyllę. Prawda i mit walczą o lepsze.

Artur Penn wybrał metodę dla tematu niezwykłą, trzymając nas w nieustannej przemienności tragizmu i komizmu. Działa szokiem, który współczesne kino tak chętnie stosuje. Wybrał metodę trudną, nie potknął się jednak na niej. Założył przy tym, że film jego będą oglądać ludzie myślący.

Jeśli chcecie, zobaczcie...

„JEZIORO OSOBLIWOŚCI" — w reżyserii Jana Batorego jest adaptacją książki jednej z najpoczytniejszych autorek powieści dla młodzieży, Krystyny Siesickiej. Trudno uznać, że film ten przydał książce wiele walorów, choć pochwalić się może dwoma nader udanymi debiutami — Marii Kowalik w roli młodziutkiej bohaterki tej opowieści i Wandy Warskiej jako kompozytora muzyki filmowej. „Jezioro osobliwości" dołączyć należy do nurtu filmowych rozważań o problemach i dramatach nastolatków, na których moda w kinie naszym nadal widać trwa. Kolejna próba nie wykracza poza pewną poprawność, poza sytuacje i postacie, których modele ukształtowano raczej na użytek filmu, niż pełnego życiowego indywidualizmu. Rzecz skończyła się na tytule.

„PAN HULOT WŚRÓD SAMOCHODÓW" — czyli powrót dawno niewidzianego Jacquesa Tati. „Wakacje pana Hulot" to dla wielu jeszcze legenda, dla innych już nic nie mówiący tytuł. Jednym i drugim spotkanie z panem Hulot zaproponować jednak warto. Znakomity francuski reżyser i aktor w jednej osobie powraca do bohatera swych wszystkich filmów, po to, by jeszcze raz ukazać obraz współczesnej cywilizacji w krzywym zwierciadle. Tym razem pan Hulot przeżyje swe przygody wśród ludzi, którzy stali się ofiarami kultu samochodu. Że będzie to spotkanie śmieszne, nikt z dawnych wielbicieli pana Hulot nie wątpi, choć może przeżyje potem małe rozczarowanie. Zbytnia mnogość gagów, czasem bardzo rozciągniętych w czasie, zakłóca właściwy odbiór najznakomitszych. Dla nich jednak warto przełknąć pozostałe. Czy to jednak nie przesada narzekać na nadmiar dowcipu? W przededniu wielkiej samochodowej wędrówki ludów dobrze wybrać się na spotknie z panem Hulot, bowiem nie tylko o sam śmiech w nim chodzi. Właściciel syrenek zainteresuje też może fakt, że samochód campingowy pana Hulot, będący głównym rekwizytem i źródłem rozlicznych gagów, wykonała dla filmu Jacquesa Tati firma **„Renault".**

EWA NURCZYŃSKA

TELEWIZJA

MOLIER

Francuskiego dramaturga Jean Anouilha nie trzeba u nas przedstawiać. Chyba wszystkie bardziej znaczące sztuki prezentowane były w teatrach, telewizji, radio. Tym razem w Teatrze Poniedziałkowym zobaczyliśmy MOLIEROWNĘ, która jest polską prapremierą. Sztuka została przygotowana przez katowicki teatr TV w związku z 300 rocznicą śmierci Moliera.

Wbrew tytułowi bohaterem sztuki nie jest żona Moliera (aktorki ówcześnie używały panieńskiej formy nazwiska) lecz sam Jean Baptiste Poquelin, autor sztuk, które od trzystu lat nie tylko bawią cały świat, ale i są dla każdego pokolenia zwierciadłem namiętności, charakterów i ludzkich ułomności.

Sztuka Anouilha jest scenicznym portretem wielkiego Moliera (taki dosłownie tytuł nosi film zainspirowany przez „La petite Moliere"), jest próbą (czy może być czymś więcej?) przedstawienia w udramatyzowanej formie życiorysu największego francuskiego komediopisarza, jest hołdem jaki współczesny dramaturg złożył niezapomnianemu artyście.

MOLIEROWNA kojarzy nam się z pojęciem — teatr faktu, bo jest w niej osnowa faktów wzięta z biografii Moliera, fragmenty jego sztuk, ale jest też w tej sztuce typowe dla Anouilha spojrzenie na historię: przewrotne, sceptyczne, podporządkowane skali współczesnych ocen. Hołd dla wielkiego komediopisarza nie oznacza, że mamy do czynienia z okolicznościową laurką, portretem malowanym jasnymi barwami.

Wprost przeciwnie. Molier w tej sztuce jest człowiekiem, który zdobywa powodzenie jako autor, ale w życiu prywatnym przez niedobrane małżeństwo staje się zgorzkniały, osamotniony. Znajduje się w sytuacji w jaką uwikłał swoich scenicznych bohaterów, choćby ze „Szkoły żon" — Arnolfa i Anusie. Jednak ten motyw, chociaż stanowi główny wątek sztuki, schodzi jakby na drugi plan. Na pierwszym pozostaje Molier i jego teatr, artysta i jego dzieło.

Twórca przedstawienia (reżyseria i rola Moliera) Ignacy Gogolewski zarówno znakomitą interpretacją ról, jak i precyzyjną reżyserią poprowadził pewnie widowisko w tym kierunku. Zrobił przedstawienie pełne ruchu, dynamiczne, ale nie tylko kostiumowe. Konsekwentnie określił miejsce aktorów, którzy go w niczym nie zawiedli. I dotyczy to nie tylko znanej i doświadczonej aktorki jak Wiesława Mazurkiewicz, ale i pozostałych młodych aktorek jak Ewa Dałkowska w roli Armandy, Ewa Dębówna i Ewa Smiałowska.

Tak więc w sumie obejrzeliśmy widowisko, które nie było rocznicowym ukłonem, lecz wzbogaciło naszą może nie wiedzę o życiu Moliera, ale nasze rozumienie odwiecznego problemu, jakim jest rozdźwięk między życiem artysty, a jego dziełem. W całokształcie rozumienia zjawisk kultury nie jest to problem najważniejszy, ale potrzebny, stanowi ważny punkt odniesienia z którego widać wiele.

Na marginesie poniedziałkowego spektaklu nasuwają się jeszcze inne refleksje, nie tylko natury czysto artystycznej. Ignacy Gogolewski objął dwa lata temu kierownictwo katowickiego teatru. Teatru zasłużonego, ale który ostatnio przeżywał pewną stagnację. Obecnie obserwujemy znaczne ożywienie działalności tej placówki, którego nie sposób nie łączyć z nazwiskiem tego utalentowanego aktora. Sprawdza się znana prawda, że każda indywidualność twórczo animuje życie artystyczne środowiska. Byłby to więc jakiś wzorzec do naśladowania? Miejmy nadzieję, że tak! Bo ostatnio prasa doniosła, że Mariusz Dmochowski objął kierownictwo Teatru Ziemi Opolskiej.

POLECAMY DO OBEJRZENIA

Ingmara Bergmana „Malowidło na drzewie" (15. VI. godz. 21.20). Ten dramat poetycki winien wzbudzić szczególne zainteresowanie, gdyż jest to pierwowzór scenariusza „Siódmej pieczęci", jednego z najwybitniejszych filmów szwedzkiego reżysera. Jest to znów polska prapremiera sceniczna tego utworu (wcześniej było słuchowisko radiowe). Widowisko prezentuje Telewizja Gdańska, co warte jest podkreślenia. W jednej z ról wystąpi Halina Winiarska, aktorka znakomita, którą jednak rzadko możemy podziwiać na szklanym ekranie.

Wg Federica Garcii Lorki „Ach, miłość pod kwitnącą pomarańczą", widowisko poetyckie, które zostanie nadane w dniu 16. VI. o godz. 21.20 w p. 2.

Dla sympatyków pani Hańskiej, których chyba nie brak po ostatnim serialu „Wielka miłość Balzaka", polecamy widowisko dokumentalne — w niedzielę, 17. VI. godz. 20.15 pt. „Spór o panią Hańską" w której weźmie udział grono interesujących pań i panów.

JAROSŁAW TARNO

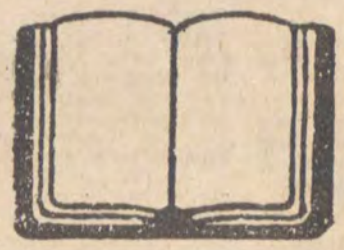

KSIĄŻKA

Książka spod lady

Czytelnicy pamiętają zapewne wydaną w 1970 roku, w pięknej szacie i ze wspaniałym wyposażeniem ilustracyjnym książkę **Jacquesa Le Goffa „Kultura średniowiecznej Europy", Państwowe Wydawnictwo Naukowe,** które jest edytorem tej publikacji, postanowiło widać uruchomić swego rodzaju serię książek, ujmujących dzieje różnych epok cywilizacyjnych, bowiem w identycznym formacie i w równie starannej oprawie edytorskiej przyswoiło polskiemu odbiorcy dzieło **Francois Daumas** o cywilizacji Egiptu faraonów pt. **„Od Narmera do Kleopatry".** Wielkie zainteresowanie polskiego czytelnika starożytnym Egiptem, a zwłaszcza naszymi odkryciami archeologicznymi na tym terenie sprawia, że książka Daumas, dająca szerokie, panoramiczne, a przy tym ścisłe, oparte bezpośrednio na dokumentach i zabytkach ujęcie tematu, celnie utrafia w zapotrzebowanie społeczne, jakie istnieje u nas na tego rodzaju syntetyczne opracowania.

Termin „sadyzm" został u nas upowszechniony w znaczeniu potocznym, ale dotychczas niewiele jeszcze wie się o życiu i twórczości „ojca" tego pojęcia, markiza de Sade'a, poza tym, że jest autorem pisanych i wydawanych w atmosferze skandalu obyczajowego powieści erotyczno-perwersyjnych.

Dobrze, że **Jerzy Łojek,** znany jako autor świetnie napisanej opowieści biograficznej o **„Pięknej Bitynce"**, opublikował w **Wydawnictwie Lubelskim** eseistyczną książkę **„Wiek Markiza de Sade"**, która umiejętnie tonuje rozmaite kontrowersyjne opinie o głośnym pisarzu i niewątpliwie przyczyni się do pewnego wyprostowania pojęć na temat jego twórczości. Twórczość ta w spokojnej, rzeczowej relacji Łojka traci wiele z cech demonizmu, a nabiera wymowy bardzo interesującego i artystycznie wybitnego dokumentu dawno minionej epoki.

Sławą wybitnego pisarza o żywiołowym temperamencie, a jednocześnie skandaliczną aurą dekadenta, demoralizatora i demonicznego satanisty otoczony był **Stanisław Przybyszewski.** Wiele trudu badaniom życia i twórczości pisarza poświęcił **Stanisław Helsztyński,** co znalazło wyraz w bogato ilustrowanej, obszernej, bo blisko 600-stronicowej opowieści biograficznej **„Przybyszewski".** Książka ta, pasjonująca dla wszystkich zainteresowanych literaturą i obyczajowością Młodej Polski, stanowi pieczołowitą rekonstrukcję losów legendarnego już dzisiaj poety i cygana, prawodawcy nowej sztuki w Polsce.

Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, która niedawno przysporzyła rynkowi czytelniczemu edycję **„Pieśni" Horacego,** ma ostatnio szczęśliwą rękę, jeśli idzie o ozdobne, bibliofilskie wydania. Staraniem jej ukazał się w wyborze i opracowaniu **Stanisława Nyrkowskiego,** a ze wstępem prof. **Juliana Krzyżanowskiego** wielce osobliwy w swej zawartości zbiór pieśni wędrownych śpiewaków z XIX i XX wieku, zatytułowany **„Karnawał dziadowski".** Unikalne teksty, wyłowione zarówno z katalogów bibliotek naukowych, jak i z tzw. „śmietnika bibliotecznego", są owocem wieloletnich poszukiwań autora, pedagoga i zbieracza osobliwości literackich. W specyficznej dla siebie formie mówią i o doniosłych w życiu narodu wydarzeniach, i o klęskach żywiołowych, i o okrutnych zabójstwach...

Miłośnicy pięknej książki znają niewątpliwie nie nazwany, ale wyraźnie wyodrębniający się formatem i szatą graficzno-edytorską cykl poświęconych różnym pasjom kolekcjonerskim książeczek „banachowskich" („Historia pięknej kobiety", „Portret wzorowego mężczyzny", „Podróże po szufladzie", „O wdzięczności przedmiotów", „Zbierajmy pieniądze"). Ostatnio **Ela i Andrzej Banachowie** zmienili nieco profil tej serii i po książce podróżniczej o Sycylii dali do rąk czytelnika tomik o charakterze eseistyczno-reportażowym o kraju, którego dynamiczny rozwój budzi coraz powszechniejsze zainteresowanie świata. Religia, język, moda, architektura, wygląd ulicy, wnętrza domów, film i teatr — to najważniejsze zagadnienia, które porusza książka **„Cztery tygodnie w Japonii".** Publikacja ozdobiona została 320, co prawda nie najlepiej reprodukowanymi ilustracjami.

Na zakończenie typowa lektura „do poczytania". Krakowskie **Wydawnictwo Literackie** kontynuuje wielki historyczny cykl znanego pisarza, członka Akademii Francuskiej, a od niedawna ministra kultury, **Maurice Druona,** pt. **„Królowie przeklęci".** Jest on barwnym freskiem historycznym, zbeletryzowaną kroniką panowania ostatnich Kapetyngów (w. XIV). Ukazał się właśnie tom **„Zamordowana królowa"**, a w przygotowaniu są kolejne woluminy o równie atrakcyjnych tytułach: **„Trucizna królewska", „Prawo mężczyzn", „Wilczyca z Francji", „Lew i lilie".**

JAN OKOPIEŃ

PLASTYKA

WAG

A. SZONERT

J. ZIELIŃSKI

J. DERKOWSKI

W ubiegłym roku, dzięki wydatnej pomocy władz i inicjatywie Łódzkiego Okręgu Związku Polskich Artystów Plastyków powstał nareszcie w Łodzi oddział WAG-u: Wydawnictwa Artystyczno-Graficznego. Mimo krótkiego okresu swojej działalności, placówka ta, specjalizująca się przede wszystkim w plakacie społecznym, społeczno-politycznym i kulturalnym oraz we wszelkiego rodzaju drukach reklamowych, posiada już spore osiągnięcia.

Jest to przede wszystkim zasługą grupy łódzkich grafików, zajmujących się tą właśnie dziedziną twórczości. Należą do nich m. in.: **J. Wiktorowski, J. Udorowiecki, A. Kabała, J. Derkowski, A. Szonert, J. Sierociński, R. K. Grzybowski.** Powyżej drukujemy kilka spośród wydanych dotychczas przez WAG plakatów.

ANDRZEJ GRUN

Poczta literacka

B. N. Bardzo to wszystko przegadane — popełnia Pan typowe błędy młodych autorów, chce Pan wszystko powiedzieć i mówi za dużo.

Są tam **„kłębiaste zbiorowiska chmur"** i **„korytarze kretowisk" i „drogie marzenia przesyłają świerszcze" i „pył nad miastem płynie, snując mary (?) na karoseriach"**... Jest wszystko niby poetyckie, a właściwie nie ma w tych frazach żadnej poetyckiej metafory, tylko kawałek potocznej relacji. Niech Pan jednak zobaczy, jak z potocznego języka robi poezję Białoszewski! Ale tam jest dyscyplina w tym pozornym bełkocie, tam jest metaforyka, nastrój. U Pana natomiast jest tylko „poezjowanie" — spisywanie słów, słów, słów.

Proszę Pana (i innych), abyście nie mieli mi za złe odsyłania do lektur wybitnych poetów. Jest to bowiem nieodzowne. Tak się dziwnie składa, że młodzi, piszący z reguły bardzo mało czytają poezji. Oczywiście lektury nie zastąpią własnych marzeń i własnego spojrzenia, ale są konieczne, choćby, jako skala porównawcza. I nauka. Poezji bowiem także trzeba się uczyć. Czasy naturszczyków chyba minęły.

TOMASZ M.

Chciałbym mieć kwiaty
żywe i cięte
czerwone i żółte
jak wstążki

Chciałbym mieć organy
ogromne i srebrne
które mogłyby wyć
i płakać

Chciałbym mieć Ciebie
zwyczajną i dobrą
na zawsze
albo na chwilę

Przysłowie mówi: **„chcieć, to móc"**. Myślę jednak, że na razie większe szanse ma Pan u dziewczyn niż u Muzy poezji lirycznej.

AUTOR ZE ZDUŃSKIEJ WOLI. Poeta powinien stawiać pytania — to prawda. Ale także powinien próbować odpowiedzieć na nie. Cóż bowiem znaczą Pana słowa:

„Wciąż patrzałem
Wiatr zdmuchiwał wybladłe twarze
Ludzie wracali z kościoła
Wciąż się dziwiłem
w co oni rzeczywiście wierzą".

Na to pytanie poeci próbują odpowiadać od wieków, a Pan ograniczył się tylko do zdziwienia. Bardzo wygodna ta pańska poezja. Inne nadesłane wiersze też nie wstrząsają głębią przemyśleń.

T. M. Były epoki, kiedy tzw. poezję okolicznościową bardzo wysoko notowano. Nie zawsze jednak była to poezja wysokiego lotu. Pan próbuje zrehabilitować ów zanikający rodzaj mowy wiązanej w wierszu o kapitanie Baranowskim. Czy się to Panu udało?

„Samotny żeglarz — Jest to sport
co wszystkich fascynuje
Pożegnać ląd, pożegnać port...
Kto się w to wszystko wczuje..."

Otóż to! Trzeba znaleźć jakiś klucz, aby czytelnik **„wczuł się"**... Nie wydaje mi się, aby Pan ów klucz znalazł.

KRYTYK

POWIĘKSZENIA

NIEDOLE SPORTOWCA

Ludzie zazdroszczą sportowcom, nie wiedząc, że są to ludzie bardzo nieszczęśliwi, wrażliwi, delikatni i wciąż niedoceniani. Ani „kadrowe", ani diety, ani wojaże zagraniczne nie są ich w stanie utulić. **„Express"** publikuje zwierzenia takiego sfrustrowanego sportowca. Oto niektóre żale:

„Za dobry występ nikt mi nie gratulował..." — „Próbowałem dyrygować grą „Legii". Nikt mnie nie słuchał..." — „Byłem zgaszony. Na boisko wychodziłem rozdygotany nerwowo..." — „Publiczność powitała mnie przeciągłymi gwizdami, stałem w bramce, jak na rozżarzonym węglu..."

Gdyby nie obawa, że nam się ta mimoza całkiem rozpłacze — zaproponowalibyśmy mu, aby po prostu... poszedł do jakiejś pracy.

KOMUNIKAT

W „Życiu Literackim" czytamy:

„Polskie Radio i Telewizja podają do wiadomości, że naruszyły dobra osobiste Poli Gojawiczyńskiej w słuchowisku Henryki Tarnowskiej pod tytułem „Ziemia Elżbiety", stanowiącej adaptację powieści Poli Gojawiczyńskiej pod tym samym tytułem, na którą to adaptację komitet i Henryka Tarnowska nie otrzymali zgody córki pisarki. Słuchowisko było nadane w dniu 6.X.1968 r. przez Rozgłośnię Katowicką PR".

Rzut oka na datę uświadamia nam, że Polskie Radio i Telewizja procesowało się w tej sprawie z córką Poli Gojawiczyńskiej co najmniej cztery lata. Odporność psychiczna spadkobierczyni musiała być daleko większa niż bramkarza ŁKS.

I TRIENNALE MALARSTWA I GRAFIKI — 1973

LUCJAN MIANOWSKI — litografia barwna

§ KUMPLE

W czasie rozprawy przed Sądem Wojewódzkim ani razu nie padły słowa „grupa przestępcza", czy „młodzieżowy gang". Nie zawierał tych sformułowań i akt oskarżenia. Poznając jednak działalność przestępczą 12 młodych ludzi nie można się oprzeć wrażeniu, że była to grupa działająca może nie w sposób zorganizowany i raczej od przypadku do przypadku, nie mniej związana silnymi więzami koleżeństwa, wywodzącymi się bądź ze wspólnego uczęszczania do jednej szkoły, bądź ze wspólnego miejsca zamieszkania. Posiadali także przywódcę — nieletniego Krzysztofa Z., którego silny charakter imponował nawet o wiele lat starszym kolegom. Byli to po prostu kumple o jednakowych mniej więcej zainteresowaniach, a jakie to były zainteresowania o tym niżej.

W nocy z 30 września na 1 października 1972 roku portiera strzegącego pomieszczeń Technikum Budowlanego w P. obudziło silne stukanie w okno. Była już godz. 2 i starszemu człowiekowi nie chciało się opuszczać ciepłej dyżurki. Młody człowiek z latarką był jednak natarczywy.

— Niech pan mnie wpuści — błagał — zostawiłem zeszyt w klasie, jutro jest niedziela i chciałbym ja poświęcić na odrabianie zadań. Niech pan wpuści...

Portier był jednak zdecydowany. Powiedział „nie" i zamknął okno. Zaintrygowany jednak tą niecodzienną wizytą postanowił zobaczyć w którą stronę podąży dziwny nocny gość i czy czasami nie ma ochoty na samodzielną próbę odzyskania pozostawionego zeszytu. Wyszedł więc na duży korytarz i szedł w stronę drzwi. Ledwie jednak przekroczył próg dyżurki, trzech młodych ludzi zaczajonych tu rzuciło się na niego.

— Uspokój się, nie krzycz, widzisz ten nóż? — groził jeden z nich, podczas gdy dwaj pozostali związywali mu ręce sznurem elektrycznym, zakneblowali usta i przywiązali do krzesła. Następnie napastnicy zabrali klucze do pomieszczeń szkolnych. Uprzednio jednak wyrwali sznur telefoniczny. Do tej trójki dołączył jeszcze jeden młodzieniec, właśnie ten, który rzekomo zostawił zeszyt w szkole. Jeden został pilnować portiera, co czynił demonstracyjnie, bawiąc się scyzorykiem, pozostali zaś udali się w stronę sekretariatu szkoły, gdzie w kasie pancernej miała być większa suma pieniędzy przeznaczonych na wypłatę dla nauczycieli. Pieniądze w kasie rzeczywiście były, ale instrumenty, którymi młodzi włamywacze usiłowali się do niej dostać (łyżka do zakładania opon w samochodzie oraz nóż tzw. finka) absolutnie się do tego celu nie nadawały. Wobec powyższego postanowiono „obrobić" stojący na terenie szkoły kiosk „Ruchu". Wzięto z niego długopisy, papierosy, ciastka, drobne pieniądze, w sumie rzeczy na około 2 tys. zł.

Tej nocy oficer dyżurny Komendy Miasta i Powiatu MO w P. odebrał dwa meldunki. Ok. godz. 3 portier Technikum Budowlanego zawiadomił o napadzie rabunkowym, a kilka minut wcześniej mieszkaniec T. zgłosił kradzież samochodu „Syrena" z niestrzeżonego parkingu. Podjęto natychmiast czynności śledcze. Już 1 października po przesłuchaniu ok. 60 nieletnich i młodocianych, ujęto dwóch sprawców napadu, a w dzień później pozostałych dwóch. Po kilku jednak przesłuchaniach grupa ta powiększyła się do 12 osób wraz z wykrywaniem coraz to nowych przestępstw dokonywanych przez dobraną paczkę kumpli.

Zanim więc owych czterech młodych dokonało napadu na portiera w Technikum Budowlanym, specjalizowali się oni wraz z innymi jeszcze kumplami w kradzieżach samochodów. Szczególnie, gdy w którejś z okolicznych wsi była zabawa, ruszali do miasta, szukając samochodu, który by można ukraść. Przywódca grupy, nieletni Krzysztof Z. miał całą kolekcję najprzeróżniejszych kluczyków do samochodów, którymi otwierał pojazdy i je uruchamiał. Jeździli na te zabawy po 8—9 w „Syrence", kradli z samochodów co tylko się dało, nie gardząc nawet damskim paskiem do pończoch. Napadli jednego z mieszkających w pobliżu ich dzielnicy chłopca żądając pieniędzy na piwo. Kiedy im odmówił i groził zawiadomieniem milicji, pobili go.

Na ogół wywodzili się z dobrze sytuowanych rodzin, nic im właściwie nie brakowało. Niektórzy z nich chodzili do szkoły, niektórzy pracowali. Kiedy jednak przyszło popołudnie, a szczególnie sobotnie popołudnie, z nudów szukali tzw. mocnych wrażeń.

Główny przywódca owej grupy 16-letni Krzysztof Z. został skazany na pobyt w zakładzie poprawczym. Marek Z. na karę 7 lat więzienia, Ireneusz O. na 4 lata więzienia. Pozostali członkowie grupy otrzymali wyroki w zawieszeniu, obwarowanym jednak obowiązkiem pracy w uspołecznionych zakładach pracy oraz obowiązkiem pracy porządkowej na rzecz miasta. Wyroki te nie są jeszcze prawomocne.

MIECZYSŁAW STOLARSKI

Pamięci van Gogha

27 lipca 1890 roku strzelił do siebie. W dwa dni później zmarł. Za swego życia sprzedał jeden obraz za kilka franków, choć niektórzy jego biografowie twierdzą, że sprzedał dwa. Dziś każdy z jego obrazów wart jest majątek. Na początku czerwca w Amsterdamie, stolicy jego ojczystego kraju otwarto wspaniałe muzeum poświęcone jego pamięci: „Rijksmuseum Vincent van Gogh".

O jego życiu wiemy dużo.

„Dla kogoś, kto powierzchownie kontaktuje się ze sztuką, van Gogh to przede wszystkim i niemal wyłącznie biografia artysty, niezwykła, burzliwa, tragiczna. Zna się ją z powieści i filmu, z ogromnej i w masowych nakładach fragmentarycznie wydawanej jego korespondencji, którą się czyta jak powieść, znamy to życie z legendy docierającej nawet do tych, którzy nic z tego nie czytali, którzy z ogromnej twórczości znają parę obrazów idących w świat w milionach reprodukcji. Cała ta łatwa popularność nazwiska, zasadzająca się na atmosferze potocznej ciekawości, sensacji i — trochę — skandalu, czyni istotę dzieła van Gogha nieomal niedostępną; zawsze lepiej zaczynać poznawanie od zupełnej niewiedzy, niż od jakiejś wiedzy pozornej, niewłaściwie ukierunkowanej. Ten życiorys, rzeczywiście wyjątkowy, ma niebezpieczne „uboczne działanie". Stwarza złudzenie, iż można poprzestać na nim, gdy się chce wniknąć w to malarstwo. Naprawdę zaś ważne jest jedynie to, iż pomimo takiego życiorysu, niejako wbrew niemu powstało dzieło tak wielkie" — pisze **Wiesław Juszczak** w niedawno wydanej książce pt. „Postimpresjoniści".

Znaczna część, bo dwie trzecie płócien van Gogha przechowała się do dziś, jako całość jednej kolekcji. Obrazy mistrza nie uległy rozproszeniu i obecnie znalazły się w amsterdamskim muzeum im. van Gogha. Komu i czemu zawdzięczamy to z pietyzmem przechowanie dzieł genialnego malarza? Główną zasługę ma w tym inżynier (specjalność budowa maszyn) Vincent Willem van Gogh, bratanek malarza. Dziś liczy on już 83 lata. Artysta był jego chrzestnym ojcem, ale inżynier nie przypomina sobie wielkiego stryja. Miał zaledwie jeden rok życia, gdy malarz zabił się w przystępie obłędu. Jego bratanek nie tylko nosi nazwisko sławnego stryja, nie tylko podziwia jego twórczość i geniusz, ale rysami twarzy łudząco go przypomina.

Kto odziedziczył dzieła malarza po jego śmierci? Jak wiadomo van Gogh nie miał żony i dzieci, toteż spadek po nim otrzymał brat Theo. U niego zresztą przechowały się prawie wszystkie dzieła Vincenta. Theo van Gogh, był przez wiele lat jednym z niewielu ludzi, którzy wierzyli w geniusz malarski van Gogha. To Theo podtrzymywał Vincenta na duchu w chwilach jego depresji duchowej, to on kupował mu płótna i farby, płacił bez szemrania wszystkie rachunki za leczenie, to on, bezskutecznie, próbował sprzedawać obrazy brata. W ten sposób w posiadaniu Theo van Gogha znalazł się niemal cały dorobek malarza, prócz obrazów, które Vincent podarował swym przyjaciołom. Theo jednak umarł w pół roku po śmierci brata. Wdowa po nim wróciła do Holandii, zabierając z sobą płótna i rysunki. Wyszła wkrótce za mąż za pewnego malarza. Jak to ocenia inżynier van Gogh, jego matka, wdowa po Theo, do roku 1925 sprzedała około stu obrazów Vincenta. Po tej dacie nie sprzedała już nic. W jej więc ręku pozostało dwie trzecie dzieł Vincenta van Gogha. W swym ostatnim przed samobójstwem liście do brata malarz pisał:

„Istotnie, nie możemy przemawiać inaczej niż poprzez nasze obrazy".

Zapiszmy to na dobro wdowy po Théo — zadbała ona z dużą energią o to by spopularyzować twórczość swego nieżyjącego szwagra. Urządzała wiele wystaw, starała się, by płótna van Gogha oglądało możliwie wielu ludzi.

Po jej śmierci dzieła odziedziczył inżynier Vincent Willem van Gogh. Utrzymał kolekcję w całości i kolekcja ta w całości utrzymana pozostanie. Bowiem, jak to stwierdził sam inżynier, jego dzieci otrzymawszy spadek o wartości multimilionów musiałyby wyprzedać niektóre przynajmniej dzieła po prostu dla opłacenia podatku. W ten sposób obrazy zostałyby rozproszone być może po całym świecie. Aby temu zapobiec inżynier odprzedał w roku 1962 kolekcję za cenę stosunkowo niewysoką w stosunku do jej wartości, Fundacji van Gogha, subwencjonowanej przez państwo. Sam zaś na mocy umowy został prezesem owej fundacji.

Dziś obrazy van Gogha dzięki właśnie temu znalazły się w specjalnym jego imieniem nazwanym muzeum, zbudowanym na wskroś nowocześnie, z najnowszymi urządzeniami, w gmachu jasnym, widnym, przestrzennym, zaprojektowanym przez zmarłego w roku 1964 architekta **Gerrita Rietfelda.** Paradoksem jest, że Vincent van Gogh u schyłku życia obawiał się tego, że jego dzieła znajdą się „w zimnej sali" państwowego muzeum, gdzie owszem, ludzie będą przychodzili, aby je obejrzeć, będą się wzruszali, ale **„jak na jakimś cmentarzu".** Już zresztą w roku 1931 **Stedelijk Museum w Amsterdamie** przejęło, w formie wypożyczenia, 200 obrazów van Gogha. Z braku jednak odpowiedniego miejsca i warunków płótna nie mogły być należycie pokazywane.

Obecna ekspozycja van Gogha w muzeum jest największą kolekcją dzieł tego malarza na świecie, składającą się z płócien ze wszystkich okresów twórczych artysty. Poza obrazami jest tu pięćset rysunków oraz rozmaite pamiątki po malarzu m. in. około 900 listów. Ponadto znalazło się tu pięćdziesiąt obrazów przyjaciół van Gogha, dzieła takich mistrzów jak Gauguin, Bernard czy Monticelli.

W roku 1945 inżynier van Gogh wybrał się z dziełami swego stryja do Ameryki.

„Byłem pierwszym z tych, którzy odważyli się przelecieć z dziełami sztuki nad Atlantykiem" — powiedział później.

Obrazy van Gogha pokazywane były wówczas na specjalnie urządzanych wystawach w Nowym Jorku i Filadelfii. Publiczność amerykańska po raz pierwszy miała możność zetknięcia się z większą ilością dzieł van Gogha. Ekspozycje te zrobiły ogromne wrażenie na miłośnikach i znawcach sztuki.

W roku 1972 odbyła się wielka wystawa obrazów van Gogha w Paryżu. Tu jeden z dziennikarzy zapytał inżyniera, na ile ocenia wartość kolekcji. Sędziwy bratanek genialnego malarza odpowiedział:

„Jeśli nie ma się zamiaru czegoś sprzedawać, nie można podać ceny" i z kolei zapytał: **„A ile kosztuje Venus z Milo?"**

Na czym polega niezwykła wartość dzieł van Gogha? W swych obrazach, niezależnie od tematu, wyrażał przede wszystkim siebie, pasję swego tragicznego życia, swoje spojrzenie tak pełne humanitaryzmu. Nikt tak jak on nie potrafił wyrazić żarem intensywności lub kontrastowania barw, ludzkich przeżyć i namiętności. Jego dzieła tak surowe w swej prostocie i wyrazistości, przemawiają nie tylko do znawców sztuki ale do każdego kto je ogląda.

JANUSZ SKOSZKIEWICZ

Zdarzenia i Zwierzenia

Sezon ogórkowy

W sklepach pojawiły się świeże ogórki, co niechybnie świadczy, że jesteśmy u progu sezonu ogórkowego. Z sezonem tym kojarzy się nam przede wszystkim tajemniczy potwór z angielskiego jeziora, który od wielu lat odżywa na łamach gazet, właśnie w czasie letniej kanikuły. Jeśli więc niebawem przeczytamy na pierwszej stronie „Expressu", że potwór znów się pojawił, będzie to znak, że lato zaczęło się na dobre.

Licho właściwie wie skąd się wzięło i kiedy określenie „sezon ogórkowy". W każdym razie jest na tyle stare, że obrosło już w tradycje, a także w literaturę. Dość powiedzieć, że już Henryk Sienkiewicz pisał w „Chwili obecnej": „Niedługo skończy się sezon ogórkowy i zakipi na nowo życie..."

Stare są tradycje letnich „opowieści zmyślonych", drukowanych w gazetach. Badacze prasy odgrzebali taką letnią bujdę już w roku... 1890. Oto latem tego właśnie roku filadelfijski dziennikarz na łamach gazety „Press" opowiedział historię farmera, który.. hoduje pająki. Po co? Aby je sprzedawać handlarzom wina. Pająki osnuwały butelki pajęczyną, dzięki czemu towar zyskiwał naturalną „patynę" starości.

Brednia bo brednia, ale podobno ludzie dali się nabrać i do gazety wpłynęły setki ofert od handlarzy win, a informację przedrukowało nawet parę... czasopism naukowych.

Bzdura ta zresztą miała dość długi żywot. Jeszcze w latach trzydziestych tego wieku amerykańskie pisma odgrzebywały w sezonie ogórkowym tę historyjkę. Bodaj ostatni był magazyn „Atlantic", który o „pajęczynach na sprzedaż" pisał w czerwcu 1937 roku.

Wróćmy jednak do potwora z Loch Ness. Oto w marcu 1959 roku włoski dziennikarz, Francesco Gasparini, opublikował na łamach mediolańskiego pisma „Visto" rewelacyjne oświadczenie. Gasparini oświadczył mianowicie, ni mniej ni więcej, tylko, że... on sam wymyślił historię węża morskiego.

„Było to — pisze Gasparini — latem 1933 roku. Brakowało nam właśnie jakiejś sensacyjnej wiadomości, kiedy przypomniałem sobie o przeczytanej gdzieś historii rybaka, który w jeziorze Loch Ness złowił jakąś nieznaną rybę. W mojej informacji osobliwa ryba stała się tajemniczym potworem".

Gasparini zaklina się, że chciał po paru dniach tę bujdę sprostować, ale wypadki potoczyły się tak, że... potwór ożył. Po prostu inne gazety — też cierpiące na brak sensacji — zaczęły przedrukowywać historię o potworze, dodając zresztą nowe szczegóły i fakty. Nie sposób więc było bujdy odwołać.

Nawiasem mówiąc próba wyjaśnienia tej mistyfikacji w roku 1959 też się Gasparinimu nie powiodła. Potwór z Loch Ness stał się niejako symbolem prasowych bujd — dziennikarz, który byłby jego „twórcą", automatycznie przechodził do historii prasy jako ojciec największej bujdy dziennikarskiej. Tak więc Gasparinigo — nieznanego w końcu dziennikarza — okrzyczano jako żądnego sławy uzurpatora — i jeśli nawet dziś nikt nie wierzy w potwora, to tym bardziej nikt nie wierzy Gasparinimu, że go wymyślił.

Wniosek z tego prosty, że jeśli się jakąś „kaczkę" preparuje, to lepiej się potem nie wycofywać i historii nie dementować.

Tak, jak to czynił pewien praski dziennik ze wspomnień Jarosława Haszka, który, co prawda, do literatury przeszedł jako autor napisanego pod koniec życia „Wojaka Szwejka", ale który przez całe życie był zwykłym dziennikarzem.

Oto gazeta, o której pisze Haszek, codziennie dawała czytelnikom porcję zmyślonych informacji pod sensacyjnymi tytułami: Rewolucja w Argentynie — Bombardowanie Hawany — Bunt żołnierzy w Południowej Afryce — Rzeź w Pekinie — Straszne trzęsienie ziemi w Armenii — Mord polityczny w Islandii...

Następnego dnia, gdy czytelnicy chwytali pismo, aby dowiedzieć się, jakie są dalsze losy spraw ogłoszonych wczoraj, gazeta z niezmąconym spokojem informowała jak gdyby nigdy nic: „Bunt na Celebesie — Powszechna rewolucja w krajach tropikalnych — Afera szpiegowska w Australii — Próba wysadzenia Watykanu w powietrze — Góra Ararat runęła na Kaukaz — Przewrót państwowy w Tasmanii...

I tak codziennie... I choć niczego nie dementowano, czytelnicy kupowali tę gazetę. Bujdę można bowiem jakoś strawić, można się do niej nawet przyzwyczaić.

WIDOK

LEWYM OKIEM!

Archeologia babilońska

Był taki czas i trwał kilka ładnych stuleci, kiedy o towarzyskiej atrakcyjności i o tak zwanym prestiżu społecznym pojedyńczego człowieka decydowało jego urodzenie. Był też czas — i w wielu okolicach świata istnieje on nadal w pełnej krasie, kiedy najważniejszą cechę stanowi posiadana forsa, majątek, jak najgrubszy portfel. Brak majątku jest w takim środowisku czymś wręcz nieprzyzwoitym, wstydliwym, świadczącym o niedołęstwie i nieprzydatności osobnika. Ale to nie u nas. U nas najbardziej atrakcyjny, najmilej widziany, najchętniej goszczony jest ktoś, kto „dużo może", kto ma chody, albo po prostu pracuje w instytucji, mającej wpływ na rozdział takich czy innych dóbr, niekoniecznie materialnych.

Profesor lub chociażby asystent profesora wyższej uczelni, całkiem nudny i nietowarzyski typ, nie nadający się ani do brydża, ani do wypitki, ani nawet na wycieczkę z wędką, będzie niezmiernie fetowany w domach, w których dzieci dochodzą do matury. W takich domach śmieszne będą wszystkie dowcipy asystenta, rewelacyjne okażą się jego opowiadania o jednej jedynej bytności za granicą i to w Lipsku, zdjęcia zrobione przez niego obiegną cały imieninowy stół przy akompaniamencie cmokań i zachwytów. Któż bowiem, jeśli nie on, umożliwić może dostanie się pociechy na wymarzoną archeologię i to koniecznie babilońską?

Jeśli ma się w kręgu znajomych kogoś z branży dziewiarskiej, kto w dodatku naprawdę potrafi i jest gotów ułatwić zakup sweterka z krótkiej serii, bluzeczki z nadwyżek eksportowych, rajstopów o najnowszym wystroju — to już nikt więcej z tej samej branży nas nie interesuje. Po co? Lepiej przecież postarać się o kontakty także z inną branżą — może z Centralą Rybną (karp na wigilię!), może z Orbisem (przydział dolarów, kapitalna rzecz, przecież to niemożliwe złożyć wniosek w okienku i czekać...), może z ekspedientką w sklepie mięsnym (cielęcina — marzenie starszych panów, zmuszonych do diety, a przejedzonych ciągłymi kurczakami z wody...)

Dobrze jest pracować w związkach zawodowych, bo każdy chciałby czasem pojechać na wczasy w wybrane przez siebie miejsce — i to latem. Nawet nie trzeba nikomu obiecywać, wystarczy być dla otoczenia taką potencjalną szansą — a już ma się ów niezbędny dla samopoczucia „prestiż społeczny". Nie mówiąc o służbie zdrowia, władającej takim łakomym kąskiem, jakim dla każdego patrioty jest druczek L-4. Właściwie jedynym zawodem, który nie kontaktuje z bytowymi sprawami zwykłych obywateli, po którym nie można oczekiwać żadnych korzyści i usług ułatwiających życie, jest zawód wojskowego. Może dlatego oficerowie zawodowi i ich rodziny są w pewnym sensie odrębną grupą społeczną, na innej konwencji, innymi kategoriami odczuwaną i ocenianą.

Kiedy jestem komuś po raz pierwszy przedstawiany i kiedy na pytanie o mój zawód, odpowiadam na przykład, że pracuję w przemyśle kapeluszniczym, mogę być pewny, że zaraz padnie pytanie następne: panie, a gdzie właściwie można by dostać te borsalina z zajęczej sierści z rondem na dwa palce? Jeśli odpowiem, że jestem urzędnikiem na kolei, zostanę natychmiast poproszony o załatwienie siedmiu miejscówek do Międzyzdrojów. Jeśli przedstawię się jako zaopatrzeniowiec spółdzielni kuśnierskiej, okaże się, że aż pięć osób z naszego siedmioosobowego grona nie może od dawna dostać kożuszka welurowego, mimo odłożonej na ten cel gotówki. Tych samych pięć osób w rozmowie z panią, która okazała się farmaceutką, potrzebuje bardzo pilnie mexasy czy innej boldiny, której nie mogą dostać, a w rozmowie z jeszcze inną panią, kasjerką w zakładzie fryzjerskim, zamówią sobie natychmiast czesanie poza kolejką.

Wszystkim takim zapotrzebowaniom towarzyszyć też będzie otwarta, skwapliwa dekoracja: „oczywiście, ja bym się jakoś odwdzięczył (odwdzięczyła). Może pana na przykład interesuje ustnik do saksofonu? Moja hurtownia otrzymała właśnie transport z NRD..."

Rozmówcom rzednie mina, gdy przyznaję się do współpracy z prasą. Widzę po oczach, jak usilnie pracują mózgi, usiłując prędko znaleźć sposób wykorzystania czegoś takiego. I tylko czasami zdarzy się konkretna propozycja: „panie, to nie mógłby pan osmarować tego drania Iksa, Ygreka, żeby mu w pięty poszło? Dawno mu się należy, panie!"

Niestety, nikt niczego mi za taką usługę nie obiecuje. Z czego wniosek, że na współpracy z prasą majątku się nie zrobi...

ĆWIEK

ANDRZEJ GRUN — FRYZURY

PRZEDTERAŹNIEJSZOŚĆ

Wokół sprawy KONARSKIEGO

O tym, jak zakończyła się działalność emisariusza polskiej emigracyjnej demokracji Szymona Konarskiego wiemy od dawna. Aresztowany na małej podwileńskiej stacyjce pocztowej, badany przez specjalną komisję śledczą powołaną z carskiego rozkazu, został on z początkiem 1839 r. skazany na śmierć przez sąd polowy. Jego towarzysze otrzymali mniejsze kary: jedni zostali oddani w rekruty, drugich zesłano na długoletnią katorgę. Znacznie już mniej wiadomo o innej sprawie, związanej najściślej z procesem Konarskiego, a mianowicie o tym, że w czasie jego trwania miała miejsce próba uwolnienia więźniów i że tego trudnego zadania podjął się rosyjski oficer Agłaj Kuźmin — Karawajew. Ważny ten epizod z dziejów polsko-rosyjskiej współpracy rewolucyjnej w okresie po powstaniu listopadowym wydobył ostatnio i przedstawił w nowym świetle radziecki historyk A. F. Smirnow, jego też ustalenia posłużyły za kanwę niniejszego felietonu.

A. Kuźmin — Karawajew miał w 1839 r. dwadzieścia trzy lata i służył jako podchorąży w pułku piechoty na terenie ówczesnej gubernii grodzieńskiej. Był człowiekiem światłym i towarzyskim: doskonale znał język francuski, czytał po niemiecku, pilnie uczył się polskiego, znał literaturę rosyjską, francuską i polską. Posiadał rozległe znajomości nie tylko wśród kolegów, ale pośród miejscowej inteligencji i szlachty. Należał do tych młodych rosyjskich wojskowych, którym bliskie były tradycje dekabrystów i którzy z nieskrywaną sympatią śledzili współczesne im ruchy demokratyczne i rewolucyjne i nie godzili się z polityką caratu w stosunku do Polaków. Miał on wielu polskich przyjaciół, wśród których znajdowali się aktywni działacze Stowarzyszenia Ludu Polskiego. Nie wiadomo, czy sam osobiście utrzymywał stosunki ze Stowarzyszeniem, wiemy jednak na podstawie świadectwa Konarskiego, że polski rewolucjonista miał bliskie kontakty z rosyjskimi oficerami o zapatrywaniach republikańskich i liczył, że uda mu się prowadzić rewolucyjną agitację również w carskiej armii.

Na wieść o aresztowaniu Konarskiego Karawajew dzięki różnym zabiegom wystarał się o przeniesienie do Wilna. Udało mu się zostać wyznaczonym do straży, ochraniającej dawny klasztor bazyliański, w którym więziono Konarskiego. Podczas pierwszego dyżuru jako naczelnik straży wszedł do celi więźnia i wdał się z nim w rozmowę. Nie o czymkolwiek zrazu, co mogłoby go zdekonspirować, bo o literaturze francuskiej; dopiero po kilku minutach można było ostrożnie — rozmowa nie odbywała się bez świadka — natrącić o inne już sprawy. Tak to zostały nawiązane osobiste kontakty między oficerem a więźniem i jego towarzyszami. Karawajew ułatwiał im wzajemne porozumiewanie się, sam dostarczał potrzebnych informacji, pomagał więźniom w nawiązaniu kontaktów z działaczami demokratycznymi, pozostającymi na wolności.

„Jak potem Karawajew stwierdził wobec towarzyszy — pisze A. F. Smirnow — stał on na czele organizacji rewolucyjnej, która starała się pomóc Polakom w ich walce z caratem i czynnie przekonać ich o tym, że posiadają oni również wśród Rosjan przyjaciół, na których mogą liczyć".

Wszystko już było przygotowane do ucieczki Konarskiego, która zapewne byłaby się udała, gdyby nie zdrada jednego z uwięzionych. Zdrajcą okazał się grodzieński ziemianin Orzeszko, który doniósł o spisku komisji śledczej. Karawajewa natychmiast aresztowano, jeden z jego przyjaciół popełnił samobójstwo. Z rozkazu Mikołaja I do sprawy A. Kuźmin — Karawajewa powołana została specjalna komisja śledcza. Śledztwo zataczało coraz to szersze kręgi ujawniając — ku najwyższemu niepokojowi carskiej władzy — niespodziewanie szeroki rozmiar demokratyczno — rewolucyjnej opozycji pośród młodej kadry oficerskiej. Bardzo wielu oficerów otwarcie sympatyzowało z Karawajewem, niektórzy próbowali przygotować jego ucieczkę wraz z innymi aresztowanymi.

Carat postanowił nie nadawać sprawie Karawajewa i towarzyszy zbyt wielkiego rozgłosu słusznie rozumując, że przyczyniło by się to tylko do jego kompromitacji. Ponad rok obradował sąd wojskowy: Karawajew i jeden z jego współpracowników zostali skazani na „ćwiartowanie", to jest obcięcie rąk i nóg, co „najmiłościwiej" zamieniono im potem na dożywotnią katorgę. Inni oskarżeni otrzymali łagodniejsze wyroki.

LEKTOR

Wydawca: RSW „Prasa — Książka — Ruch" — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-103, telefony 244-79, 217-98 oraz 293-00 wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6.50 zł, kwart. 19.50 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch", Łódź, ul. Żwirki 17.
Zam. 1309. T-4.